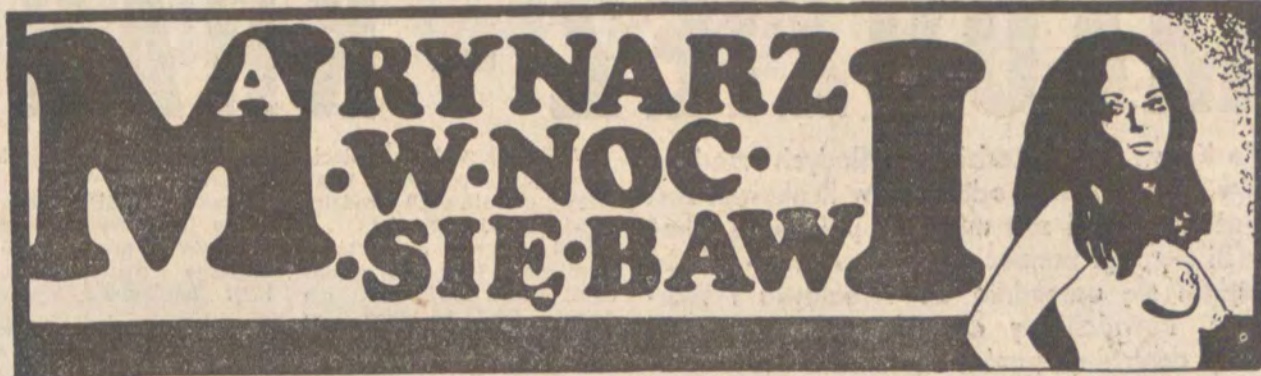




**30** Rok XVI  
(819)

CENA 1.50zł

**29.7.73**



Czytaj na str. 4

# ODGŁOSY

**TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY**

ANDRZEJ JÓZWIAK

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

**ZIEMIA  
ŁÓDZKA  
2000**

**KILKA**

**PYTAŃ I WĄTPLIWOŚCI**

**W numerze:**

▲ NAGRODY WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

▲ Władysław Bortnowski wraca do problemu egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie

▲ Maria Hoffman pisze o życiu muzycznym Łodzi

▲ Nr 3 MAGAZYNU WAKACYJNEGO, bogato ilustrowany

▲ Jarosław Haszek opowiada o dawnej Galicji

▲ Recenzje, felietony.

Ciepła lipcowa noc. Zakończył się ostatni koncert kołobrzeskiego festiwalu piosenki żołnierskiej. Bramami amfiteatru wali rozbawiony tłum. Przeważa młodzież. Obok mnie przechodzi grupa klornych, wyrosniętych nastolatków; trzy dziewczyny i dwóch chłopaków. Zeński nastolatek żartobliwie salutuje i zaczyna maszerować wymachując opalonymi ramionami. Piegowały chłopak podśpiewuje jej; grzmi orkiestra garnizonu, trąby, flety i puzyry, bębny wali, aż dziw bierze, a na końcu dwa talerze!... Długonogi dryblas w marynarskiej podkoszulce mówi do swych rozgorączkowanych zabawą przyjaciół:

Łatwiej jest wyobrazić sobie przyszłość Łodzi w ostatnich latach naszego stulecia, niż uczynić to w przypadku Ziemi Łódzkiej. Program rozwoju i modernizacji miasta wysuwa bowiem na plan pierwszy te kierunki działania, które zadecydują o przyszłości miasta. Ziemia Łódzka dysponuje również założeniami dla swego dalszego rozwoju, jest to jednak region zróżnicowany gospodarczo i to stanowi podstawową trudność w uświadomieniu sobie jej przyszłego obrazu. Można marzyć o tym, jaką chciałoby się widzieć Ziemię Łódzką w przyszłości, ale byłoby to oderwane od rzeczywistości. Trzeba więc myśleć o tym, jaką Ziemia Łódzka może być. Na jakich przesłankach opierać się będzie jej przyszły rozwój?

Dalszy ciąg na str. 3

**GRZMI  
orkiestra  
GARNIZONU**

— Bomba! Być może było. To jest rozrywka.  
Dziewczyna nieruchomieje i sennie ziewa, a piegus zwraca się do pozostałych:  
— Chodźcie, idziemy, to wszystko jest takie nudne.

I;

Od tej pory przestałem sądzić, że nuda i rozrywka wyłączają się wzajemnie, co nie oznacza to, że brak jednego z tych fenomenów stanowi o obecności drugiego. Przestałem jednak dziwić się, że publiczność tak znakomicie przyjmuje utwory oraz produkcje wokalne, dla których nazwa „klucz” byłaby komplementem. Festiwale piosenki mają pewne właściwości rozrywkowe, bowiem realizowane w określonych warunkach wywołują u publiczności wrażenie rozrywki, dają jej zabawę i wnoszą odprężenie.

Dalszy ciąg na str. 6

RYSZARD BINKOWSKI

Polska jest mała i wielka. Przejechałem 1600 kilometrów i poznałem zaledwie jej część — kilkanaście miast, wsi i miasteczek, leżących na drodze frontowej I Armii Wojska Polskiego. Autokar gnał pełnym gazem, „na kole”, opuszczał mi się żołądek, figlował na dobrej, lecz zmiennej kuchni żołnierskiej, a mimo to przetrzymałem jako jedyny przedstawiciel tzw. cywil-bandy. Spałem w izbach żołnierskich, gdzie przy łada poruszeniu jęczały sprężyny łóżek, myłem się zimną wodą i zrywałem na głos pobudki. Zawsze zdążyłem na czas...

**SZLAKIEM  
ZWYCIĘSKIEJ  
WIOSNY**

Brakowało podciśnienłowców, nie pito kawy, ale jakoś zdołałem się zaprzyjaźnić z porucznikiem Karolem Klimasem, młodym chłopakiem z Dolnego Śląska.

Zostałem przybity masą żołnierskich dowcipów, porucznik Karol był w tej dziedzinie niepokonany; z trudem przyjmowałem na-

tomiast wykłady z taktyki, przeto ten reportaż będzie tylko garścią osobistych refleksji, jakie wyniosłem z pięciodniowej podróży wojskowo-historycznej, podczas której towarzyszyłem grupie słuchaczy Ośrodka Szkolenia Oficerów Politycznych. Przewodził i wykladał pułkownik Karpiński.

I.

Między konarami drzew kołobrzeskiego parku przecieka szum morza. Jest wieczór, granatowe niebo, jeszcze ciemniejsze, splenione, grzywiaste jak Bałtyk. Dmie ostry

Dalszy ciąg na str. 6



Leszek Rózaa — DWA MIASTA

# MŁODZIEŻ - KRAKÓW - 1973

Po Katowicach i Łodzi Złot Młodych Przewodników Pracy i Nauki odbył się w Krakowie. Jest to już trzeci taki zlot młodego pokolenia, choć — jeśli sięgnąć pamięcią w przeszłość — młodzi spotykali się uprzednio we Wrocławiu i Warszawie. Powróciliśmy do tej tradycji, czyniąc z niej centralny punkt obchodów Lipcowego Święta, obchodzonego już po raz 29 — na rok przed 30-leciem PRL.

Rocznicy narodzin Polski Ludowej nie święcimy już wojskowymi defiladami. W kilkadziesiąt minut po zakończeniu telewizyjnej transmisji z Krakowa, widzowie całej Polski, a także widzowie Interwizji mieli okazję podziwiać uroczystą zmianę warty. Piękny to ułkon w stronę naszej tradycji, piękny sposób uczczenia pamięci tych wszystkich, którzy oddali życie za nasz powszedni spokój, za warunki dla naszej codziennej i twórczej pracy.

Uroczysta zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie miała tego roku w sobie piękne znamie symbolu. Wartę nad spokojnym losem Polaków obejmowało młode pokolenie żołnierzy. Najlepsi z najlepszych. Ich koleżdy z ZMS, SZMW, SZSP, SZHP i ZSMW manifestowali w tym czasie swoje przywiązanie do socjalistycznej Ojczyzny, słubowali oddać jej „swoją zapal i wysiłek, marzenia i młodość, swoje życie”.

Słubowali: „Pracować lepiej i wytrwale, uczyć się więcej i sumiennie, pomnażać chlubne dziełictwo ojców i matek, sióstr i braci, iść dynamicznie drogą wskazaną przez partię, budować Polskę zamożną i silną, piękną i szczęśliwą”.



Złot w Krakowie nie był tylko jeszcze jednym spotkaniem młodzieży, jeszcze jedną manifestacją. Miał w sobie wielkie treści wychowawcze. Był manifestacją ciągłości polskiego ruchu młodzieżowego.

Symbolom tej ciągłości i jedności był nie tylko moment wywoływania sztandarów: Polskiej Partii Robotniczej, Związku Walki Młodych, Związku Młodzieży Polskiej, nie tylko ogień przyniesiony przez młodych hutników z Huty im. Włodzimierza Lenina w Nowej Hucie, tej samej, którą w oparciu o radzieckie doświadczenia budowało pokolenie ZMP. I nie tylko to — jak powiedział sekretarz KC PZPR — Edward Gierek, że „w dniu Święta Narodowego (...) szczególnie godzi się przypomnieć dzieło waszych poprzedników — pokolenia, któremu przypadła w udziale walka o wolność narodu i budowa fundamentów Polski Ludowej”. Ciągłość ruchu młodzieżowego wynika bowiem z jego ideowych założeń, z programu wychowawczego określonego przez partię na VII plenarnym posiedzeniu jej Komitetu Centralnego. Wynika z zrozumięcia podstawowej prawdy, że przyszłość narodu, przyszłość kraju zależy również i od należytego wykorzystania tradycji, od patriotycznego i ideowego wychowania naszych następców.

W krakowskim Zlocie Młodzieży po raz pierwszy uczestniczyli rodzice młodych złotowiczów, a wśród nich i ci, którzy sami przed laty byli członkami ZWM, ZMP. Dziś ich dzieci, ich następcy w młodzieżowych organizacjach przygotowują się do przejęcia pałeczki w sztafecie pokoleń.

„Cały naród ma prawo wierzyć — powiedział tow. Edward Gierek — że wniesiecie jak największy wkład w realizację wielkich przedsięwzięć, których jutro wy będziecie gospodarzami”.

Młodzi przybyli na krakowski Złot, przywoząc z sobą dowody spełnienia zobowiązań, jakie podjęli wobec partii na poprzednim, łódzkim Zlocie. I to również stanowi dowód ciągłości w ruchu młodzieżowym. Jest potwierdzeniem jednolitego programu wychowania. Obecni na Zlocie Młodzieży w Krakowie rodzice otrzymali — po raz pierwszy przyznane przez Socjalistyczną Federację Młodzieży Polskiej — Srebrne i Złote Odznaki im. Janka Krasickiego. W uznaniu ich zasług jako rodziców, wychowawców młodego pokolenia, byłych działaczy polskich organizacji młodzieży polskiej. I to jest również potwierdzenie ciągłości w ruchu młodego pokolenia, ciągłości i trwałości naszych ideałów wychowawczych.

Był jeszcze jeden moment w krakowskim Zlocie, który zasługuje na podkreślenie. To spotkanie młodych w zakładach pracy ziemi krakowskiej. Były to spotkania tych, którzy przygotowują się do życia i tych, którzy obecnie żyją w tym kierunku, którzy współtworzą powszedni kształt naszej współczesności. W spotkaniach tych było wiele pytań i wątpliwości, ale była też troska o skuteczność tego, co robimy. Kiedy młodzi delegaci na Złot w Krakowie spotkali się z krakowskim naukowcem, ktoś powiedział, słuchając dyskusji.

— Zastanawiam się, kto z nich jest bardziej młody? Zapal cechował obie strony. I tak było wszędzie. Nie były to bowiem czcze dyskusje, spełnienie złe pojętego obowiązku. Była to szczerza rozmowa o

wszystkim, co nas dziś interesuje.

Krakowski Złot odbywał się w Roku Nauki Polskiej, w okresie przygotowań do dalszego rozwijania rewolucji naukowo-technicznej.

„Żyjemy w czasach szybkiego postępu nauki i techniki, technologii i organizacji — powiedział do delegatów zgromadzonych na Rynku pod Sukiennicami I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek. — II Kongres Nauki Polskiej potwierdził rosnącą rolę nauki we wszystkich dziedzinach gospodarki, kultury i rozwoju społecznego naszego kraju. Rewolucja naukowo-techniczna to nie tylko coraz wydajniejsze maszyny i urządzenia, ale także — i to przede wszystkim — umiejętności ich stosowania, coraz wyższe kwalifikacje, twórczy stosunek do pracy. Szczególną więc wartość ma stałe dokształcanie się, nadążanie za postępem nauki i techniki w swoim zawodzie, w swojej specjalności. Sprawa wykorzystania najnowszych zdobyczy wiedzy, wdrażania nowych technologii, innowacji i pomysłów racjonalizatorskich do produkcji niech wśród was, młodzi robotnicy i inżynierowie, naukowcy i technicy, znajdzie najbardziej gorących rzeczników”.

Te słowa są programem postępu dla wszystkich, są wskazaniem drogi ku nowoczesności, bez której żadne społeczeństwo nie będzie mogło dotrzymać kroku w szybkim rozwoju świata. A przecież my, zajmujący w mijającym 30-leciu znaczną pozycję w świecie, umacniając ją, nie możemy pozostać w tyle. Mamy też do nadrobienia wiele opóźnień i zaniedbań.

I wszyscy wierzymy, że w tym trudzie dorównywania kroku postępowi na świecie, doganianiu krajów przodujących, nie zabraknie udziału młodych, że potwierdzą słowa swego słubowania codziennym czynem, pracą i nauką.

Na Zlocie było też wiele radości, uśmiechów, tańca i śpiewu. Tak, jak powinno być na Zlocie młodych ludzi, bo młodość ma swoje prawa. Pod urokiem młodych, odmłodził stary Kraków — miasto naszej



Na zdjęciach: Młodzież łódzka wśród delegatów na Złot.

wspaniałej kultury. Złotowe miasteczko ulokowano między Krakowem, a Nową Hutą, Między Wawelem — symbolem naszej narodowej tradycji, a Nową Huta — symbolem Polski współczesnej, Polski ludzi ofiarnie pracujących, czerpiących siły z narodowej tradycji i budującej narodową, socjalistyczną przyszłość.

Ze Złotu w Krakowie delegaci polskiej młodzieży pojechali prosto do Berlina na kolejny Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Za rok młodzież spotka się na kolejnym Zlocie — ZLOCIE TRZYDZIESTOLECIA POLSKI LUDOWEJ.

MARCIN RODAK

## Za twórczość artystyczną

### NAGRODY MINISTRA KULTURY I SZTUKI

Tradycyjnie już, z okazji Lipcowego Święta przyznano nagrody Ministra Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną. Wśród wielu nagrodzonych znaleźli się również łodzianie:

— **JERZY WAWRZAK** otrzymał nagrodę III stopnia w dziale Literatura za książki „Linia” i „Na spotkanie dnia”.

— **TERESA KUBIAK** otrzymała nagrodę II stopnia w dziale Muzyka za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie wokalistyki.

— **BENON LIBERSKI** otrzymał nagrodę III stopnia w dziale Plastyka za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie malarstwa.

— **JADWIGA ANDRZEJEWSKA** — aktorka Teatru Powszechnego w Łodzi — otrzymała nagrodę II stopnia w dziale Teatr za całokształt twórczości aktorskiej.

**ZESPÓŁ TAŃCA LUDOWEGO** przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Sz. Harnama w Łodzi pod kierownictwem artystycznym Jadwigi Hryniewickiej, otrzymał nagrodę zespołową I stopnia w dziale Upowszechnienie za osiągnięcia w amatorskim ruchu artystycznym i popularyzację sztuki ludowej w kraju i poza jego granicami.

**WSZYSTKIM NAGRODZONYM SKŁADAMY SERDECZNE GRATULACJE!**



## MUZYKA

Z niemałym zdziwieniem przeczytałem w „Odgłosach” nr 22 z 3.VI.1973 „wypowiedź” pana Ryszarda Goździka ze Szczecina. W liście swym „zalałwia odmownie” prośbę SPAM o szersze niż dotychczas uwzględnianie w „Odgłosach” problematyki muzycznej postulując jednocześnie wprowadzenie na to miejsce spraw tzw. muzyki rozrywkowej Argumenty jakże wysuwane na poparcie swych żądań, świadczą wymownie o poziomie intelektualnym

autora listu. Otóż pan Goździk oświadcza, że takie przekształcenie profilu pisma jest konieczne z uwagi na popularność muzyki rozrywkowej. Według niego, dla zdobycia poczytności, pismo winno:

„Utrafić w to, co odpowiada większości”. Ja uważam jednak, a nie jestem w swych poglądach odosobniony, że owo „utrafić”, to po prostu schlebienie najprymitywniejszym gustom odbiorców, zaś pismo stosujące ten chwyt zasługuje na miano brukowca. Pan Goździk zdaje się nie dostrzegać także faktu, że „Odgłosy” są, a w każdym razie powinny być tygodnikiem poświęconym sprawom kultury, a nie rozrywki. Gdyby uwzględniał podobne postulaty, to wkrótce zapewne znalazłby się „reformatorzy”, którzy zażądali by usunięcia z pisma spraw plastyki i zwolnienia z posady pana Andrzeja Gruna. Na to miejsce przyszedłby autorzy komiksów i rysownicy satyryczni spod znaku „Karuzeli”, zaś artykuły literackie zastąpiłyby zastąpiono przez kryminały w odcinkach. Niebawem o stałyby się chyba jedynymi felietony z paragrafem i „Odgłosy” przekształciłyby się w jeszcze jeden „Express Ilustrowany”.

Proszę nie sądzić, że moje poglądy są wynikiem podłego wieku. Urodziłem się w 1935 r. i właśnie dlatego, że jestem młody, a poza tym od urodzenia mieszkam w Łodzi, czuję się w prawie do stwierdzenia, że muzyka rozrywkowa nie powinna zajmować w „Odgłosach” miejsca. Co zaś się tyczy postulatu Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, to choć moje zainteresowanie dla muzyki poważnej nie wyraża ponad przeciętną, daleki jestem od niedoceniania roli tego tak ważnego ognia kultury. Słuszne rozszczenie SPAM powinny doczekać się realizacji.

Kończąc, pragnę wyrazić nadzieję, że Redakcja nie potraktuje na serio wypowiedzi pana Goździka i nie zdecyduje się na obniżenie poziomu tygodnika, dokładając jednocześnie starań dla dalszego jego podniesienia, co ma tym większe znaczenie, że „Odgłosy” są właściwie jedynym reprezentantem łódzkiego środowiska kulturalnego wśród polskich periodyków i w związku z tym ciąży na nich o-

bowiązek dbania o prestiż tego środowiska.

Przesyłam pozdrowienia dla zespołu redakcyjnego.

JERZY KOWALEWSKI

\*\*\*

Jestem stałą czytelniczką „Odgłosów” i dlatego też wzbożenie formy i treści naszego pisma jest mi bliskie. Dyskutujemy często z przyjaciółmi nad zauważalnym brakiem w „Odgłosach” stałych felietonów lub cyklicznej rubryki poświęconej muzyce rozrywkowej.

Piosenka i muzyka popularna, jazzowa, wszelkie formy estradowe są ważnym elementem współczesnej kultury masowej. Są one produktem współczesności, mają jakiś związek z rytmem i tempem współczesnego życia. Jazz i jego historia, pop-music i jego współczesne formy, czoiwoi wykonawcy polskiej i zagranicznej piosenki — wszystko to interesuje nas ogromnie — nas, tzn. młodzież, ale przecież nie tylko młodzież. Śląska „Pannorama”, warszawskie „Kulisy”, „Szandar Młodych” i wiele innych poczynnych czasopism i gazet odpowiedziało przychy-

nie na społeczne zainteresowanie umieszczając cykliczne rubryki bądź felietony poświęcone muzyce rozrywkowej. Uwważamy, że koniecznym jest wprowadzenie takiej rubryki w „Odgłosach”. Zdobędzie się przez to młodzież, wzbogaci i urozmaici charakter pisma.

RENATA DĄBROWSKA (Gdynia—Orłowo)

## TELEWIZJA

Przeglądałem numer „Odgłosów”, gdy nagle spostrzegłem krótką lecz treściwą recenzję pt. „Święty”. Długo zastanawiałem się, w jaki sposób ten tekst trafił na łamy pisma. Autor kryjący się pod pseudonimem J.T. opisuje schemat wspólny dla wszystkich filmów z Simonem Templarem w roli głównej. I dźwił się: „...Jak publiczność nie może rozszyfrować tak banalnego schematu”. Może. Tylko wcale nie może dać sobie z tym rady rzadko czytają „Odgłosy”, a już prawie nigdy recenzji (choć w tym wypadku niewiele stracił). Oprócz tego odkry-

czego stwierdzenia autor stara się oświecić czytelnika, przewidując słuszenie, że obraz w telewizorze bywa różny. Opisuje też, że: „Simon Templar jest przystojny, wysportowany, odważny itd.”

Najbardziej rozbawiła mnie konkluzja artykułu. T.J. do-wodząc, że „Święty” jest chałwym, produkcyjniako — podobnym filmiskiem, proponuje rodzimym twórcom podjęcie tego tematu. JUŻ teraz należy wezwać opatrność na ratunek. Mielibyśmy bowiem „Stawkę większą niż życie” która mogła być strawiona dzięki temu, że dotyczyła spraw Polakom bliskich. Ale przenoszenie na teren kraju supermana w sportowym wozie, pijącego martini, spędzającego czas na rozwiązywaniu zagadek, uważam za nieporozumienie. Lepiej już oglądać Simona Templara, bo trudno jest sprawdzić, jak wygląda życie angielskich lordów. Lepiej niż tworzyć rodzime kłecze czy też pisywać puste recenzje.

JACEK MALEWSKI (Łódź)

# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUŚ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

# Nagrody województwa łódzkiego

W lipcu, w przeddzień rocznicy Manifestu, PKWN, jak co roku, przyznaje się **NAGRODY WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO**. Przyznaje się je za wybitne osiągnięcia w różnych dziedzinach życia, za wkład w rozwój Ziemi Łódzkiej. Nagradza się ludzi, którzy przyczynili się do szerzenia kultury, oświaty, twórców i artystów związanych z życiem społeczeństwa Ziemi Łódzkiej, ludzi nauki i techniki.

W 1973 roku **NAGRODY WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO** otrzymali:



**TADEUSZ  
CHROŚCIELEWSKI**

Łódzki poeta i prozaik, krytyk literacki i tłumacz, którego twórczość jest silnie związana z Ziemią Łódzką. W roku 1968 ukazała się w Wydawnictwie Łódzkim jego powieść pod tytułem „SZKARLATNA GODZINA” o tematyce poświęconej kształtowaniu postaw patriotycznych i społecznych młodzieży szkół piotrkowskich w latach 1859—1863. Powieść ta spotkała się z uznaniem recenzentów, którzy podkreślali jej wartości poznawcze i ideowo-wychowawcze.

Również wcześniejsza powieść **TADEUSZA CHROŚCIELEWSKIEGO** pod tytułem „Szkoła dwóch dziewcząt” (Wydawnictwo Łódzkie 1965) związana jest tematycznie z Ziemią Łódzką, porusza bowiem problemy odbudowy szkolnictwa w Łodzi i województwie, w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej.

Pisarz ma na swoim koncie także liczne publikacje traktujące o przeszłości i teraźniejszości regionu łódzkiego. Tej tematyce wiele miejsca poświęcił również w swojej twórczości poetyckiej. Jest autorem, między innymi poematu pod tytułem „BITWA POD E-WINĄ”, nagrodzonego w konkursie Związku Literatów Polskich i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Poemat ten znajduje się w najnowszym zbiorze wierszy **TADEUSZA CHROŚCIELEWSKIEGO** pod tytułem „KARTA POWOLANIA”.



**JERZY  
DUNIN-BORKOWSKI**

Pracuje i mieszka w Krośniewicach koło Kutna. Jest farmaceutą z zawodu. Ale dał się poznać jako zapalony kolekcjoner, miłośnik wszystkiego, co wiąże się z historią narodu polskiego. Jego muzeum, które stworzył w swoim prywatnym domu znane jest szeroko w kraju, a odwiedzają je również zagraniczni goście.

**Jerzy Dunin-Borkowski** zebrał w tym muzeum cenne i rzadko spotykane okazy broni: miecze, koncerze, karabale, pistolety, topory, halabardy. Zbiera również porcelanę, stare portrety, stare mundury oraz insygnia wojskowe. Zbiera również stare druki i inne okazy z historii polskiego piśmiennictwa.

**Jerzy Dunin-Borkowski** nie jest jednak zwykłym kolekcjonerem. Swoje zbiory udostępnia wycieczkom, pokazuje je gościom zagranicznym. Zabytków naszej przeszłości, jakie posiada w swoim muzeum, korzysta naukowcy i pisarze, korzysta niejednokrotnie Muzeum Narodowe w Warszawie.

**Jerzy Dunin-Borkowski** wygłasza odczyty w powiecie kutnowskim a i poza jego granicami, jest członkiem 30 stowarzyszeń naukowych. Jest szczerym miłośnikiem historii narodu polskiego i umie swoje zamiłowanie pokazać innym, uczy — szczególnie młodzież — patriotyzmu i umiłowania tego wszystkiego, co kiedykolwiek stworzył naród polski.



**KAZIMIERZ MAURER**

Rolnik ze wsi Babice w powiecie łódzkim. Zapalony działacz amatorskiego ruchu artystycznego. Gawędziarz ludowy, który nie tylko przekazuje gromadzone przez siebie ludowe opowieści, ale też sam je tworzy. Jego pasją jest ratowanie od zapomnienia cennych utworów folkloru Ziemi Łódzkiej. Opracowuje je nie tylko dla siebie, aby potem występować przed publicznością, ale i dla innych wykonawców. Od 25 lat współpracuje z amatorskim zespołem artystycznym ze wsi Babice.

Za swoją pracę kulturalną, a także artystyczną był już wielokrotnie wyróżniany. Zajął II miejsce w centralnych eliminacjach Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Krakowie w 1958 roku, pierwsze miejsce — w 1969 roku w Konkursie Folklorystycznym Ziemi Łódzkiej oraz zdobył I nagrodę w kategorii gawędziarzy w Konkursie Kapel, Gawędziarzy i Spiewaków Ludowych w 1966 roku. To oczywiście tylko niektóre z nagród i wyróżnień.

Jest autorem widowisk folklorystycznych. Opracował je dla zespołu ze wsi Babice, ale współpracuje też z innymi zespołami: „Dobroń”, „Wiśniowa Góra”, z zespołami z Lipiec Reymontowskich, Łódzkiego Domu Kultury, „Harnajem” oraz z zespołem PKD w Kutnie. Największą popularnością cieszą się między innymi jego widowiska: „Kupałowa nocka”, „Kiermas” i „Zapusty”.

Pisze też wiersze, czerpiąc do nich tematykę z twórczości ludowej. Wiele z nich sam recytuje w koncertach kapel i zespołów ludowych.



**WIKTOR PIETRZAK**

Pracownik Pabianickich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa” w Pabianicach. Z zakładem tym związany jest już od przeszło 20 lat. Zaczął swoją zawodową karierę jako mistrz, później został technologiem, a następnie kierownikiem oddziału. W 1966 roku awansował na kierownika Wydziału Syntez Farmaceutycznych w pabianickiej „Polfie”.

**WIKTOR PIETRZAK** nie tylko sumiennie wykonuje swoją pracę zawodową, ale stara się na każdym kroku swoją wiedzę teoretyczną i swoje praktyczne doświadczenie spożytkować dla dobra zakładu i kraju. Jest autorem 19 wniosków racjonalizatorskich. Wiele jego prac twórczych znalazło zastosowanie w innych zakładach. Trzy z tych prac uzyskało rangę patentu, a dwie następnie zgłoszono do opatentowania w Urzędzie Patentowym PRL.

Wśród swoich prac **WIKTOR PIETRZAK** ma opracowania technologii wytworzenia — nie produkowanych do tej pory w kraju leków — hydrazidu kwasu izonikotynowego, witaminy pp, cholamidu, acnosanu, chlorowodorku izopiryny, binizyny, vagothylu, lauroseptu, parafleksu, biseptolu i benalgitu.

**WIKTOR PIETRZAK** otrzymał Srebrną i Złotą Odznakę Zasłużonego Racjonalizatora Produkcji oraz jest laureatem I i III nagrody w konkursie Mistrza Techniki Łodzi i Województwa. Jest człowiekiem o dużej inicjatywie i wielkich zdolnościach organizacyjnych.



**PROF. WACŁAWA  
POTAPCZYKOWA**

**Prof. dr WACŁAWA POTAPCZYKOWA** jest kierowniczką Zakładu Fizjologii Roślin Uniwersytetu Łódzkiego. Współpracuje też z innymi placówkami naukowymi, specjalizującymi się w rozwijaniu sadownictwa i warzywnictwa. Jej praca naukowa służy rozwojowi rolnictwa Ziemi Łódzkiej, a także od wielu lat prowadzi badania nad sposobami ochrony roślin przed chorobami i szkodnikami. Wyniki jej pracy naukowej znajdują powszechne uznanie i zastosowanie w praktyce. **Prof. WACŁAWA POTAPCZYKOWA** jest autorką licznych publikacji naukowych, wśród których szczególnie wysoką wartość mają dwie monografie naukowe: wydana w 1967 roku książka pod tytułem „Substancje wzrostowe roślin” oraz w 1971 — książka pod tytułem „Od nasienia do nasienia”.

Poza swoją pracą badawczą znajduje czas na szeroko prowadzoną pracę dydaktyczną, wychowawczą i popularyzatorską. Pod jej kierunkiem uzyskało doktoraty lub kończy rozprawy doktorskie kilkunastu młodych naukowców m. in. z placówek naukowych, zajmujących się rolnictwem i ogrodnictwem. Bierze też czynny udział w popularyzowaniu wiedzy rolniczej wśród praktyków i działaczy gospodarczych.

Dalszy ciąg ze str. 1

I Tych przesłanek jest kilka: bogactwo naturalne, przemysł — zarówno ten tradycyjny, jak i nowy: włókiennictwo, chemia, przemysł drzewny, elektrotechniczny i maszynowy, rolnictwo i hodowla, przemysł spożywczy i usługi dla rolnictwa, komunikacja oraz turystyka.

W przesłankach tych tkwią jednak pewne bariery, bez pokonania których rozwój regionu może być niepełny.

Przed wszystkim **WODA**. Jej brak ogranicza możliwości rozwoju rolnictwa, szczególnie w tych rejonach, gdzie są żyzne ziemie, a więc w **Kutnowskim, Łęczyckim i Łowickim**. Brak wody w innych rejonach hamuje rozwój hodowli.

Powstanie wielkiej oczyszczalni ścieków na terenie przyszłej **Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej** przyczyni się niewątpliwie do oczyszczania wód **Neru i Bzury**. Powstanie **Zalazu Sulejowskiego** przyczyniło się już do oczyszczenia **Pilicy** przynajmniej w dolnym biegu rzeki. Ale

## Ziemia łódzka 2000

co z innymi rzekami? Choćby z taką małą **Ochnią**. Na pytanie, kto ją zanieczyszcza usłyszałem wiele charakterystyczną odpowiedź: — **WSZYSCY!**

Rolnictwo musi mieć wodę. Przeczytałem niedawno w krajowej prasie o sygnałach, wskazujących na proces **stepowania Kujaw**. Czy takie niebezpieczeństwo nie grozi również północnym rejonom Ziemi Łódzkiej, sąsiadujących przecież z **Kujawami**? Odpowiedź jest różna. Jedni skłonni są uznać takie obawy, inni — im przeczą. Faktem jest jednak to, że doraźnym wyjściem dla rolnictwa jest tworzenie małych zbiorników wody. Wyjście to, jak do tej pory jest niedoceniane i mało kto nim się interesuje.

II Dalszy rozwój rolnictwa będzie niemożliwy bez postępu mechanizacji. W **Kutnie** powstaje wielka odlewnia żelaza, która będzie dostarczała odlewów dla przemysłu budowy maszyn rolniczych, a w tym i dla **Plocka**, gdzie powstają kombajny: „**Wistule**” i „**Biżony**”. Rolnictwo nie będzie

Dalszy ciąg na str. 4

## WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

# Egzaminy skończone — problem pozostał

Na tablicach informacyjnych łódzkich wyższych uczelni ukazały się już ogłoszenia z wynikami egzaminów wstępnych. Niestety — wielu, nawet bardzo wielu kandydatów odnalazło swoje nazwiska w wykazie osób, które egzaminu nie złożyły, a więc zdaniem komisji nie są przygotowani do studiów wyższych na wybranym kierunku.

Równocześnie matura stanowi swego rodzaju „kartę wstępu” na wyższą uczelnię, zaś opinie rad pedagogicznych, poza nielicznymi wyjątkami, sugerowały właśnie przygotowanie kandydata do studiów.

Czy mamy do czynienia ze zwykłą różnicą zdań? Czy kryteria ocen w szkole średniej i podczas egzaminu wstępnego — są diametralnie różne? Czy wymagania szko-

ły wyższej nie idą zbyt daleko, podczas gry licea i technika zadowolają się „wiadomościami minimum”?

Świadczenie naturalne każdej szkoły średniej, a więc zarówno liceum ogólnokształcącego jak i np. technikum gastronomicznego uprawnia do przystąpienia do egzaminu do szkoły wyższej. Ale zakres wiadomości z przedmiotów ogólnych w szkołach zawodowych jest znacznie

węższy. Absolwent „zawodówki” musi, albo nadrobić braki programu, albo liczyć na przyszłowe szczęście.

Historia, która jest przedmiotem egzaminu na wielu kierunkach, w szkołach zawodowych kończy się jako przedmiot w klasie trzeciej. Przy natłoku zajęć uczeń „zawodówki” zanim przystąpi do matury ma wystarczająco dużo czasu na to, by po prostu zapamiętać część materiału przerobionego przed dwoma laty.

Posłużyłem się historią jako przykładem, lecz podobnie przedstawia się sprawa i z geografii, i biologią, i językiem obcym. Nie można wi-

nić za to autorów programów. Szkoła zawodowa przygotowuje swego absolwenta do wykonywania zawodu, a nie do egzaminu na wyższą uczelnię. Formalne uprawnienia kandydat musi dopełnić wiadomościami zdobytymi poza szkołą, a więc drogą samouctwa, uczęszczania na modne obecnie kursy przygotowawcze, lub korepetycje prywatne.

Moim zdaniem średnia uczelnia zawodowa nie ponosi odpowiedzialności za „spalony” egzamin wstępny swego absolwenta zwłaszcza, jeśli wybierze on kierunek niezgodny z profilem zawodowym szkoły, w której uzyskał maturę.

Rady pedagogiczne szkół zawodowych powinny w tej sytuacji uświadomić swoich kandydatów na wyższe uczelnie o konieczności uzupełnienia wiadomości o programie liceum ogólnokształcącego. Jeśli tego nie robią, to nie można się dziwić, że absolwenci „zawodówek” blado wypadają na egzaminach wstępnych.

Zupełnie inna sprawa z liceami ogólnokształcącymi.

Ich zadaniem jest przygotować ucznia do studiów wyższych, a złożenie matury ma stanowić sprawdzian przydatności do tych studiów. Okazuje się, że często tak nie jest.

Uczeń „ogólniaka” jest w nieporównanie lepszej sytuacji od kolegi z „zawodówki”. Jeśli ma określone zainteresowania i przed wstąpieniem do liceum zdecydował się jakiego typu studia wybiera, to może dostać się do klas, które realizują profil matematyczno-fizyczny, humanistyczny, albo biologiczno-chemiczny. Większość liceów reprezentuje tzw. profil podstawowy, który w zasadzie powinien otwierać drogę na wszystkie kierunki studiów wyższych.

Biorąc pod uwagę przeladowanie programu szkolnego nauczyciel nie ma praktycznych możliwości powtórzenia z uczniami przed maturą materiału z lat poprzednich. Niektórzy nauczyciele w ramach prac koleżeńskich zainteresowani organizują dodatkowe przerabianie materiału. Ale jest to ich dobra wola, a nie obowiązek.

W trakcie matury nacisk jest położony na program klasy ostatniej. Np. uczeń, który wybiera historię jako przedmiot egzaminu obowiązany jest popisać się wiadomościami z przeszłości od 1914 roku. Natomiast na egzaminie wstępnym na prawo, czy historię, bądź polonistykę w zestawie trzech pytań będą dwa dotyczące okresów wcześniejszych. Musi więc z tego samego przedmiotu przygotowywać się dwa razy: — do matury i do egzaminu wstępnego.

Przedmioty humanistyczne w znacznym stopniu wymagają pamięciowego opanowania. Tymczasem pamięć nie jest zbyt trwałą i przyswojone fakty, wydarzenia i oceny wypierają nowe fakty, i wydarzenia. Przed egzaminem wstępnym delkwent wkuwa treść podręczników z klas poprzednich i najczęściej nie wystarcza mu już czasu na powtórzenie historii najnowszej. Podobnie przedstawia się sprawa i z innymi

Dalszy ciąg na str. 8

# ZIEMIA ŁÓDZKA 2000

Dokończenie ze str. 3

się nadal prawidłowo rozwijało, jeśli nie otrzyma należytego, usługowego wyposażenia. Do tej pory uważano, że przyszłość małych miasteczek leży w lokowaniu tam przemysłów. To prawda, ale przyszłością tych ośrodków są też usługi dla rolnictwa. Dziś uznaje się już za prawdę, ale mało się jeszcze w tej dziedzinie robi.

Przyszłość rolnictwa leży też w rozwoju przemysłu spożywczego. Ale tu już dziś wylania się podstawowy paradoks. Niektóre dziedziny przetwarzania produktów rolnictwa i hodowli podcinają gałąź, na której siedzą — zatrzymują okoliczne wody. Opowiada mi w Rawie Mazowieckiej, jak ludzie z przerażeniem patrzyli na płynące Rawką ścieki z pobliskiej mleczarni. Ktoś powiedział nawet:

— W takiej rzece życie biologiczne długo się już nie utrzyma.

A przecież na Ziemi Łódzkiej — wzorem Sieradza — powstanie kilka dalszych mleczarni i proszkowni mleka. Choćby w Kutnie. W samej Rawie Mazowieckiej powstanie wielki kombinat mięsny. Czy zakłady te zatroszczą się o należyłą ochronę środowiska, które będzie podstawa ich przemysłowej egzystencji?

### III

Największą szansą województwa jest **BELCHATÓW**. O złożach węgla brunatnego wiadomo już od dawna. Ich eksploatacja dopiero się zaczyna. Powstanie nowych elektrowni, które w połowie lat 80-tych dadzą 40 proc. energii dziś wytwarzanej w całym kraju, zasadniczo zmienią nie tylko krajobraz, ale życie ludzi z południowo-wschodniego rejonu województwa. Z drugiej strony przyszłość Belchatowa niesie z sobą pewne niebezpieczeństwa. Choćby to, jakie spotkało **Działoszyń**. Jak twierdzą naukowcy znaczne opady pyłu z cementowni „Warta I” zmieniają w zasadniczy sposób glebę i roślinność w tej części Ziemi Łódzkiej. Czy takie niebezpieczeństwo nie grozi rejonowi Belchatowa?

Nastąpi dalsza urbanizacja woj. łódzkiego. Sam Belchatów będzie liczył blisko 60 tys. mieszkańców. Rozwiną się i inne miasta i miasteczka. Wymaga to dokonania decydującego skoku w rozwoju usług, a także turystyki i rekreacji. A wiemy przecież, że obie te dziedziny gospodarki nie należą u nas do najsilniejszych.

Nie mam wątpliwości, że ludzie programujący przyszłość Ziemi Łódzkiej myślą i o tym. Z praktyki wiem jednak, że czym innym jest statystyczne, a często szacunkowe, wyliczanie potrzeb, a czym innym ich późniejsza realizacja, że w tej realizacji występują wiele nieprzewidywanych trudności i potknięć. Myślę, że warto już nauczyć się przewidywania „obiektywnych trudności”. Bez tego nadal będziemy mieli dobre programowanie i niedostatki w praktyce.

IV Łódzkie leży w środku Polski. W Płakku na rynku można zobaczyć wielki kamień, który wyznacza środek naszego kraju. Można ten kamień traktować wyłącznie jako geograficzno-turystyczną ciekawostkę, ale fakt ten ma też gospodarcze znaczenie. Przez Łódzkie przechodzą

trasy komunikacyjne z południa na północ, a także z zachodu na wschód. Tędy pójdą autostrady o krajowym i międzynarodowym znaczeniu. Tędy przechodzą też szlaki kolejowe.

Tranzyt niewiele przynosi korzyści. A istnieje możliwość pełniejszego wykorzystania centralnego położenia województwa. Jest to dyspozycja do programowania rozwoju przemysłu. Wiele łódzkich zakładów otworzyło swoje filie w miastach województwa. Przykład: „Wólczanka”, ZPO im. dr A. Próchnika, „Majed”. Lokowanie filii tych zakładów odbywało się jednak na innej zasadzie. Przemysł był tu czynnikiem aktywizującym ośrodki miejskie województwa. Dziś trzeba spojrzeć na te sprawy inaczej.

Szlaki komunikacyjne biegnące przez Ziemię Łódzką sprzyjają rozwijaniu zakładów kooperacyjnych zarówno z Łodzią, jak i innymi rejonami kraju. „Polmo” w Praszce będzie robić podzespoły dla przemysłu samochodowego. Odlewnia w Kutnie — dla przemysłu budowy maszyn rolniczych. W Rawie Mazowieckiej — jedynie w oparciu o transport samochodowy — powstały filie łódzkiego „Majedu” i warszawskich Zakładów Narzędzi Pomiarowych im. gen. K. Świerczewskiego. Podobne zakłady powstają w Radomsku. Mówi się o filii Huty „Labedy”, która ma powstać w Pajęcznie, aby wykorzystać dogodne połączenie komunikacyjne ze Śląskiem. A takich możliwości jest więcej. Potrzeba do tego modernizacji linii węzłów i stacji kolejowych.

Tego typu postępowanie musi być wynikiem nowoczesnego myślenia, w którym region łódzki trzeba traktować nie jako odrębną, samoistną całość, ale jako część kraju, a więc i część krajowej gospodarki. Samowystarczalność województwa jest bowiem atrakcyjnym, ale tylko mi-

Jeśli znajdzie się pozytywna odpowiedź na wszystkie wątpliwości i pytania, jeśli rozwiąże się je w praktyce tak, aby można było obalić wszystkie bariery, jakie mogą zahamować rozwój gospodarki Ziemi Łódzkiej, to powstanie nieuchronnie konieczność rozwoju turystyki i ośrodków rekreacji. Wzrost miejsc pracy spowoduje pełniejsze wykorzystanie ludzkich zdolności i umiejętności. Ludzie będą jednak potrzebowali coraz większych możliwości wypoczynku. Łódzkie ma po temu warunki. Zarówno dla tych, którzy chcą wypoczywać tu po pracy, jak i dla tych, którzy będą chcieli wypoczywać podróżując po kraju. Wielu z nich będzie przejeżdżało właśnie przez Ziemię Łódzką. Zróbmy więc wszystko, aby przez Ziemię tę nie tylko przejeżdżali, ale aby tu też zatrzymywali się. Przykładem takiego postępowania może być **Ręczno**. Ale czy tylko jedno Ręczno jest w województwie?

Nauczmy się wreszcie traktować turystykę jako przemysł. Jest to przemysł atrakcyjny, dość tani — jeśli chodzi o inwestycje — ale dający pokaźne dochody.

LUCJUSZ  
WŁODKOWSKI

... we dnie w hamaku śpi. Zaraz, zaraz, jak to tam było dalej w tej cholernie dowcipnej piosence? „Czy na Bałtyku, czy na Atlantyku ze swego losu drwi...”

I

A niech to wszyscy diabli. Klnę, wierzę się, przewracam z brzucha na plecy, zamykam mocno powieki, zapieram się jedną nogą o szot czyli po ludzku mówiąc — o ścianę, drugą — o wystający brzeg koł, rozstawiam szeroko łokcie i próbuję zasnąć. Gdzie tam! Kiedy tylko na chwilę rozluźnię mięśnie — bo nie sposób przecież spać napiętym jak kulturysta na pokładzie „Mister Universum” — zaraz przechylę tatku przetacza mnie na bok, potem turlam się w przeciwną stronę o mało co nie wylatując z tej mojej szufłady do spania

### NA MORZU

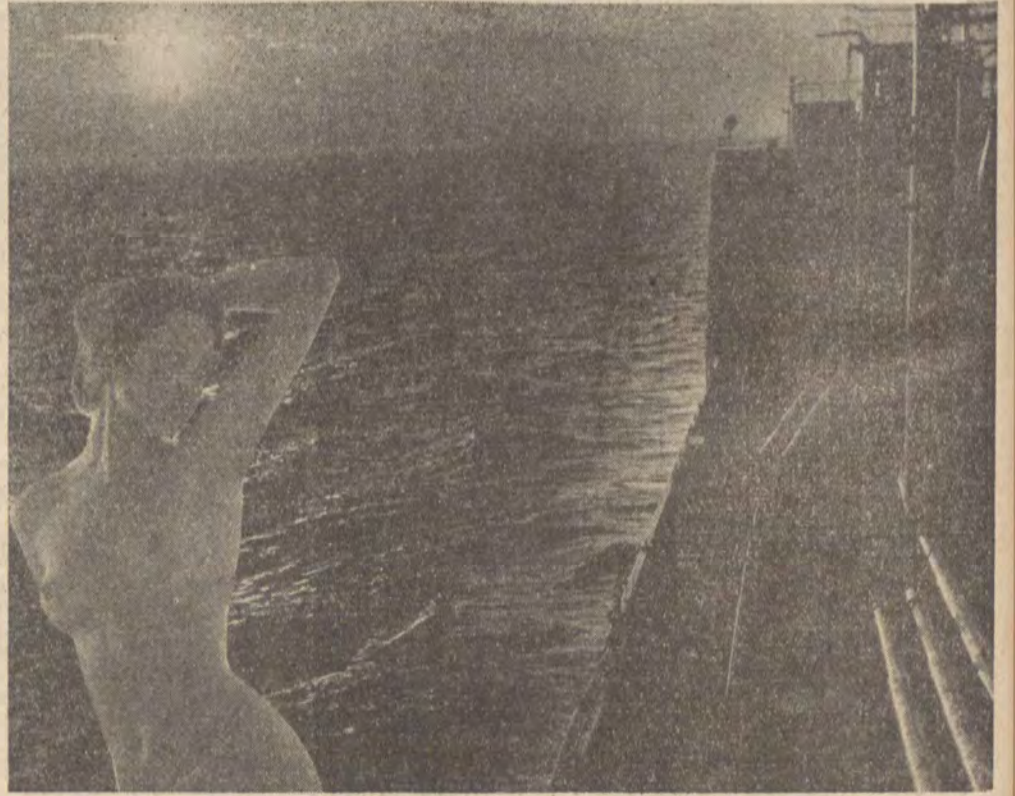
Wszystko wokół trzeszczy, stęka i skrzypli — wpycham głowę pod poduszkę, ale i teraz miarowe dudnienie silnika rozsada mi czaszkę, pocę się, liczę do stu i z powrotem do jednego — na próżno... A gdyby tak napić się czegoś, odetchnąć świeżym powietrzem?

Od wielu już godzin „Oleśnica” kłania się falom Oceanu Indyjskiego, przechylając się głęboko z burty na burtę, a ja zataczając się od ściany do ściany w rytm tych ukłonów — brnę przez wąski korytarzyk w stronę wyjścia na pokład.

Uff... „świeże powietrze” jest wilgotne, gęste, zatyka gardło dławiącą kulą. Co tam się więc szybko w względny chłód klimatyzowanego przecież wnętrza i objając boleśnie o fotelu w mesie powoli docieram do

uciekałem zawsze po godzinie dobrowolnej pasażerskiej wachty.

Na mostku — szczególnie wieczorem, a nawet i w czasie „pieska” czyli tzw. psiej wachty biegnącej od północy do czwartej rano spędziłem w sumie niemal godzinę. Ale tam — na dole — w ogłuszającym loskocie, w upale sprawiającym, iż po paru minutach człowiek



## MARYNARZ W NOC SIĘ BAWI...

pentry czyli podręcznej, najefekcyjnej, gdzie w łódce zawsze można znaleźć coś do picia i zaspokojenia nagłego apetytu. Trzask kontaktu i nagły błysk światła poraża chwilowym przerażeniem łowiczką wyprawę karaluchów, których dziesiątki szukały właśnie na stole resztek pożywienia. Pierzchają teraz szybko, ale bez specjalnej paniki — w karnych szeregach — pewne, że za chwilę wrócą znowu do przerwanego poszukiwania, coraz bardziej odporne nie tylko na DDT, ale i inne rzekomo karaluchobójcze proszki, którymi hojnie czestuje je nasz ochmistrz.

Przeplukuję powoli zaschnięte gardło sliwkowym kompotem, słuchając przy tym delikatnego staccato zawiązanych pod sufitem kłębów — dygocących, wraz z poukładanymi na półkach talerzami, w rytm przebijających się z maszynowni aż tutaj drgań naszego Diesla.

Dochodzi czwarta rano. Tomek zbiera się pewnie na wachtę — myślę wracając do siebie z jeszcze większym trudem. Podłoga ucieka bowiem spod nog, a w dodatku żołądek okazuje pewne niezadowolone z nagłego prezentu, jaki zrobiłem mu w postaci sliwkowego kompotu...

Kabina III mechanika jest tuż przy mojej i kiedy dochodzę do drzwi — Tomek, wyrwany pewnie niedawno przez wachtowego z nadrannych i najsłodszych sennych marzeń, wychodzi właśnie na swoją czterogodzinną „szczętę” w maszynię — ziewając rozdzierająco i dziwiąc się, co mogło mnie zmusić do opuszczenia koł tak bladym jeszcze świtem.

— Wybierasz się na dół? — pyta z nadzieją, że zdedował się może dotrzy- mać mu towarzystwa w tej przeraźliwej łaźni jaką jest maszynownia „Oleśnicy”, hałaśliwym piekie, z którego mimo najlepszych chęci

oblewał się katorżniczym kolanach, w tropikalnym upale, od rufy do dziobu i z powrotem. — Odpukany — oczyszczony — odmalowany na nowo pokład i burty ciejszą oko, a potem. — Cóż, woda morska i słońce robią swoje i „dzięcioły” mają robotę na okrągło niemal przez cały rejs, choć zgodzę się, iż trudno wyobrazić sobie dzielnego marynarza jako faceta z młotkiem i pędzlem w dłoni. Fakt — że mniej dzielni nie wytrzymają tej próby, a rdzawą paskudną śliną pluje się przy tej robocie na wszystkie — egzotyczne kraje za rufą lub przed dziobem, delfiny radujące pasażerskie oko, palmy, dolary i cały ten szmat zardzewiałej blachy, której odskróbać i odmalować do końca nigdy nie sposób...

### NA RUFIE

Każdego prawie dnia pod wieczór, gdy upał zelżeje już znacznie, kiedy słońce wisi tuż nad horyzontem — łagodne, purpurowo-czerwone, fascynujące... kiedy ocean oddycha długą, spokojną falą, ściągamy tu — na pokład rufowy — ze wszystkich pomieszczeń i zakamarków „Oleśnicy”. Przychodzą wolni od wachty motorzyści i ludzie z pokładu, nawet najbardziej zawzięci gracze w „kalapite” — spojrzawszy niby przypadkiem przez bulaj na polyskujące fioletem i czerwienią morze wzdychają i odkładają karty... Nie brak największych samotników — elektryka i cieśli okrętowego, zawsze wyskoczy — niby na chwilę któryś z załogi hotelowej, na inną okazję czekają krzyżówki i „chiński bilard”...

Lubimy to miejsce. Siadamy wszyscy na ostatniej ładowni — zawsze twarzami w stronę lądu — niechby i odległego o setki mil... Czasem Janusz z maszyny brzdąka cicho na gitarze... Jest dobrze, spokojnie, a jednocześnie coś

## ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

dać... Siedzę więc na dziobie, oparty wygodnie o burtę, grzeję kości w tropikalnym słończku, a myśl mam zajęte rozważaniami na temat, co też nasz kucharz czyli kuk — „Kaszalotem” zwany — wymyślił dziś dobrego na obiad...

Póki co — „dzięcioły” kują nieustannie. Muszę przystać, że nazwa jest dobra — godzina za godziną, dzień za dniem, pracowicie — jak dzięcioły — walą młotkami w pokład, odpukują kawałki rdzy, posuwają się na-

dziwnego w tej wieczornej godzinie — coś co nastroja nas jednakowo, sprawia, że szukamy swojego towarzystwa, czujemy się lepiej właśnie razem i myślimy wszyscy na ogół o jednym...

— Jeszcze tylko sześćdziesiąt trzy dni i będziemy w domu — wzdycha ktoś za tobą.

Taaak... odpowiadasz więc swoim myślom niż jemu. I czujesz nagłą, niemożliwą do opanowania, chęć na papierosa... Zaciągniesz się głęboko, patrzysz w morze i

myślisz chyba to samo co ten za tobą:

Co oni tam robią teraz — jedzą kolację, kładą się spać? Zaraz — jaka to różnica czasu? A w ogóle to przecież w domu — gruzdzień. To tylko tobie równikowe słońce zbąbliło skórę na plecach.

To dziwne. Dopiero teraz jak nigdy rozumiesz Jej lek przed każdorazowym twoim wyjazdem. Niepokój, który na próżno usiłuje po kryjomu wyplakać, odgonić mnóstwem gorączkowych zabiegów, pytań, prób:

Uważaj na siebie, pisz, nie zapomnij, wracaj szybko...

Już prawie ciemno. Słońce zdążyło popelnić jeszcze jeden pocztówkowy i naprawdę wspaniały „zachód słońca”. Stoisz przy burcie i patrzysz na „gwiazdy oceanu” — polyskujące w falach fosforycznym światłem drobiny — miliony drobni planktonu.

II Wychodzę z klatki schodowej przed blok i niemal wpadam na naszego listonosza. Czy w takim wypadku dialog może wyglądać inaczej:

— Dzień dobry. Ma pan coś dla mnie? Wie pan — mieszkam dwadzieścia...

— A mam. List z zagranicy i jedną ładną pocztóweczkę. Dużo pan tego dostaje... To od rodziny?

— Nie. Od kolegów marynarzy. Byłem kiedyś pasażerem na jednym z polskich frachtowców i stąd...

— Acha... Rozumiem. No ci to mają dobrze — obierzają kawał świata, pensja w dewizach... Żyć nie umierać...

### NIE UMIERAĆ

Jasne — dlaczego niby umierać? Idę wolno w górę po schodach, przglądam się wykonanej w Dunkierce pocztówce z widokiem na port i nagle pojmuję, że patrzę na coś czego już nie ma...

Dalszy ciąg na str. 7



### ZŁOTY WĄZ

Niemal jednocześnie ukazały się na rynku księgarskim dwie książki pisarzy peruwiańskich: M. V. Losa, „Szezenia-ki” i Ciro Alegria „Złoty wąż”. Dzięki temu mamy okazję porównania obu twórców — u Losa limeskiej młodzieży, u Alegria mieszkańców górzyskiej okolicy nad rzeką Maranon, dopływem Amazonki.

Są to tzw. Cholos, czyli przede wszystkim Metysi, lecz także biali czy Indianie prowadzący niestanną walkę z otaczającą przyrodą, okrutną i bezwzględna.

Niedostępne Andy, zdradliwa puszcza, wreszcie ów tytułowy złoty wąż, czyli groźna i potężna rzeka Maranon, stanowią to, na którym rozgrywa się dramatyczne wydarzenia: walka przewodników na rzece, pełne napięcia pojawienie na pustce obsuwające się góry, sceny z życia codziennego Cholosa, a także daremne usiłowania młodego inżyniera dążącego do wydobycia z rzeki złoto.

Wspaniałe są opisy przyrody peruwiańskiej. Alegria osiąga tu wyżyny sztuki — opisy nabierają wręcz charakteru prozy poetyckiej. Nieodparcie nasuwa się tu skojarzenie z obrazem okolic Niemna nakreślonym przez Mickiewicza czy Orzeszkowej. Krajobrazy zupełnie odmienne, lecz fascynacja przyrodą odczuwana jest ta sama.

„Złoty wąż”, powieść pełna bary przyrody, urzekająca eszotyka, to także jeden z elementów walki o literaturę narodową. Autor wprowadza nieznaną do tej pory bohaterów i pozwala im mówić we własnym języku.

Powieść należy już właściwie do klasyki, a była przecież debiutem literackim Alegria. Przyniosła mu nagrodę Nascimienta — Związku Pisarzy Chiwijskich oraz w pełni uzasadniony rozgłos nie tylko we własnym kraju.

A. N.

Ciro Alegria — „Złoty wąż”, Wydawnictwo Literackie, 1973.

### MONOTONNY WALC

W MON-owskiej serii „Labyrynt” bardzo często trafiają się bezpretensjonalne, lekko napisane książki o tematyce sensacyjnej. Wydany ostatnio „Wiedeński walc” Wiesława Kodyma też gatunkowo przynależy do tej literatury — szkoda tylko, że oparty jest na banalnej intrydze, i czytelnika nie potrafi utrzymać w napięciu.

Zbyt dużo tu naiwności — ktoś uwierzy, że dorosła kobieta jeździ parokrotnie do Wiednia, gdzie w „filmowej” niemal scenarii rodem ze szpiegowskich opowieści — wręcza nieznanemu pojmennik z mikrofilmem — i nawet nie interesuje się co jest w środku. Takich naiwnych i pozabawionych normalnej ciekawości kobiet — po prostu nie ma. Autor ją wymyślił. Tak jak wymyślił całą tę historię pełną nielogiczności — dbając jedynie o to, aby wszystko było tak jak powinno być w standardowej opowieści sensacyjnej. Ale tajemnicza zapalniczka, melodia z szafy grającej będąca hasłem — itp. historie są, niestety, zbyt już ograne, aby mogły zainteresować czytelnika.

Książka Kodyma broni się więc swoją literacką poprawnością, jakimś ciekawym obserwacjami psychologiczno-obywatelskimi. Mimo, że nie wywołuje wypieków zainteresowania czyta się ją — i jest to w końcu zupełnie znośna literatura na lato. Pod warunkiem, że potraktujemy ją jak nie obowiązkowy relaks.

Wiesław Kodym „Wiedeński walc” Wyd. MON-1973

### ZŁOWIŁEM ŻYCIE

Seria „Łowcy sensacji” wydawnictwa „Iskry” jeszcze nas dotąd nie zawiodła. Także w wypadku książki wspomnianego Wacława Korabiewicza jest to literatura sensacyjna w znakomitym stylu. Fakt, że Korabiewicz umi pisać, nikt nie zdziwi — wydał już kilkanaście swoich wspomnień. Ta książka natomiast jest jak gdyby sumą przygód autora — a miał ich tyle, że niejednym życiorys mógłby nam obdzielić.

Korabiewicz zresztą nie pisze tylko o sobie — także o ludziach niebanalnych z jakimi zetknął go los. Ot, chociażby ten polski żołnierz, który nadepnął na minę i pogrochotał go dookładnie, wpakowano go całego w gips. W nocy szepiał z zombardowano, ale sierżant ocalał, więc wpakowano go na sanitarny statek. W nocy Niemcy zombardowali statek, więc ranny wyładował na pontonie — sam jeden — płynąc sobie przez ocean, bez możliwości ruchu. Kiedy odzyskał przytomność zobaczył, że do pontonu przychodzi siła młna, której silnie uszedzie w powietrze, wybuchło spowodowało wybuch. Wreszcie go wydobyt, wyłęczono w Anglii, a następnie przekazano na oddział dla nerwowo chorych, wychodząc z założenia, że po takich przeżyciach człowiek musi przeżyć zwrócić. A on wcale nie zwrócił, tylko wpadł w szal, gdy usłyszał wybuch. W końcu normalnie.

Tęgo rodzaju nieprawdopodobnych lecz prawdziwych historii jest w książce Korabiewicza sporo. Wiele z nich opisał autor z dyskretnym humorem, wiele stron jego książki to wspaniałe karty literatury marynistycznej najwyższej próby. Korabiewicz zna morze — zna zresztą cały świat. Płynął na „Darze Pomorza”, płynął kajakiem do Indii, leczył Absynczyków w Etiopii, poznał afrykański busz i Południową Amerykę...

Tytuł książki — „Złowiłem życie”. Istotnie — Korabiewicz złowił w swoim życiu tyle przygód i wrażeń, że możemy mu tylko zazdrościć owego niewymierzonego bogactwa. I pisarskiego talentu.

J. WIL.

Wacław Korabiewicz „Złowiłem życie”, Wyd. „Iskry” — 1973, cena 24 zł.

### ŚMIERĆ JUBILERA

Jerzy Edigey jest niezwykle płodnym autorem powieści kryminalnych. Nie znaczy to, że jest autorem popularnym, bowiem nie wszystkie jego powieści do końca trzymają w napięciu, nie we wszystkich zagadka kryminalna jest tak skonstruowana, że czytelnik nie domyśla się, kto zabił. „Śmierć jubilera” znacznie odbiega od dotychczasowych utworów Jerzego Edigeya. Książka ukazała się w popularnej serii „Z Jankiem”. Wydawcą jest „Czytelnik”. Rzecz dzieje się w Warszawie. Dochodzenie prowadzi milicja. W sklepie przy ul. Poznańskiej zamordowano kierownika sklepu „Jubilera”. Podejrzanym — a tak powinno być zawsze — jest kilku. Prawdziwy morderca ukrywa się w cieniu. I tak też być powinno w przyzwoitym „kryminalu”.

Czytelnik prawie do końca nie domyśla się, kto zabił staro jubilera i dlaczego? Wiele tylko, że wszyscy podejrzani, choć poszli przeciw nim przemawiają, są niewinni. I to może psuje trochę zabawę, jaką jest przebieg lektury „kryminalów”. I pretensja druga — akcja powieści mogłaby być bardziej zwarta, toczył się szybciej. Chwilami ma się ochotę przeskończyć stronę, dowiedzieć się, co wydarzyło się na następnej. A to już dla tego typu książki niedobre.

Ale mimo tych słabości, można „Śmierć jubilera” polecić na lato, jako wakacyjną lekturę.

B. M.

Jerzy Edigey — „Śmierć jubilera”, Czytelnik, Warszawa — 1973, str. 223, cena 17 zł.



Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (10)

Tej niedzieli odezwałam się do niej cichym, spokojnym głosem: — Nie denerwuj się, Sadie. Nie jestem upiorem. To ja, Selina.

— I ty to znosisz? Stoisz po jej stronie przeciwko mnie, Rose-ann? — spytała Sadie.

— Ależ skąd — odparła Rose-ann. — Przymknij się, Sleena. Przytnij nam kawę.

— Z przyjemnością.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Sadie. — Jak ty wytrzymasz takie gadanie?

— Coś ty — obruszyła się Rose-ann. — Jak bym nie była taka zmartowana, Sleena, taka cholernie zmartowana, to bym się podniosła i tak cię walnęła.

— Ja to zrobię za ciebie. — Sadie musiała wyciągnąć raptem nogę. Upadłam jak długi.

— Wstawaj! — rozkazała.

— Ha, ha, ha, niech skonałam, Sadie — zaśmiała się Rose-ann. Moja tolerancja gdzieś przysła. Nie próbowałam już więcej.

Zrobiłam wszystko dla Rose-ann i jej przyjaciółki. Zrobiłam najlepiej, jak mogłam. Jeszcze nigdy nie zraniły mnie tak boleśnie. Ale to nieważne.

— Dziękuję, Słoneczko...

— Bądź gotów przy wórze dzwonów i bebnów...

Tylko tyle zapamiętałam z poematu Gordona. Wypowiedziałam to szepem. Raz po raz.

Obie przyjaciółki przez cały dzień rozmawiały bez wytchnienia. Czasem mówiły obie naraz. Głośno, coraz głośniej, jedna usiłowała przekrzyknąć drugą. I zawsze zwyciężała Sadie.

Miała silny charakter. Oczywiście Rose-ann również. Nie pomniejszam Rose-ann. Ani jedną, ani drugą nigdy nie pracowały w niedzielę. Czasem żałowały, że tak się marnuje ten mały pokój na końcu korytarza, w ogóle nie używany w niedzielę. A w rzeczywistości to lubiły być wolne w niedzielę — lubiły rozmawiać, śmiać się, jeść i pić.

Sadie zawsze przynosiła butelkę burbonu. Wypijała ją do ostatniej kropelki, sama całą butelkę. Rose-ann piła cokolwiek, naturalnie tylko w niedzielę.

— To oczyszczą mi wnętrze na cały tydzień — mówiła. Alkohol wzywał u Sadie hałaśliwą wesołość.

— Spójrz na mnie, dziadku! Spójrz, jaka Sadie wesoła, wesoła — Uhm, hm!

— Sadie, och, niech skonałam! — Rose-ann na pewno lubiła Sadie.

Przez te wszystkie lata nigdy nie zdarzyło się, żeby (jak już Sadie przysła) wychodziły obie w ciągu dnia. Późno wieczorem, po wysyceniu całej butelki, Sadie staczała się ze schodów. Rose-ann stawała wówczas w proggu i patrzyła za nią.

— Pa, Sadie! — wykrzykiwała.

— Pa, Rose-ann, laluliu.

— Pa, Sadie!

— Pa, Rose-ann... — Czasem tak się żegnały przynajmniej te dwadzieścia razy, zależnie od tego, jak długo Sadie schodziła po schodach.

Tej niedzieli omdlałam ze szoku. Nie wiem, co się mi

obu stało. Około dziewiątej, ni z tego, ni z owego, Rose-ann powiedziała:

— A co, jakbyśmy tak obie, ty i ja, Sadie, poszły sobie do kina?

— Po diabła!

— Bądź kochana — przymlała się Rose-ann. — Chodźmy do kina, Sadie. No jak?

— Po diabła! — powtórzyła Sadie.

To przekreślało wszystko. W końcu Rose-ann wydeła wargi. Wpadła w zły humor. Sadie była dla niej tym kimś jedynym, kto mógł ją wziąć do kina.

— Nie bądź wredna, Rose-ann.

— Nie rusz się z tego łóżka.

— Nie bądź taka wredna.

Niech pójda. Niech pójda. Proszę cię, Boże, pozwól im pójść. W pięć minut Sadie i Rose-ann wyszły. Wiedziałam, że nie pójda do kina. I to, że nie będzie ich całą noc. Nie pojmowałam skąd to wiem, ale wiedziałam i nie myliłam się.

Nastawiłam radio. Pokój był śliczny.

Czemu ma ktoś błądzić.

Kiedy tutaj jest cały świat...

powiedziałam. Pięknie to zabrzmiało. Powtórzyłam jeszcze raz. Posprzątałam po Rose-ann i Sadie. Starannie wyprasowałam sobie niebieską bluzkę. Jutro poniedziałek. Jeżeli istniała gdzieś jakaś dziewczyna, która wyobrażała sobie, że jest najszczęśliwszą na świecie, to ta dziewczyna się myliła. Ja, S—e—l—i—n—e, Selina, byłam najszczęśliwszą na świecie.

Wykapałam się i uczesałam swoje „jasnozłote włosy”. Skropiłam wodą kolońską Rose-ann moją „jasnozłotą skórę”. Potem zmyłam tę wodę. Nie chciałam mieć nic, co należało do Rose-ann. A potem znów polecałam się jeszcze więcej tą samą wodą kolońską. Powinnam się uczyć tolerancji, nawet, gdyby mnie to miało życie kosztować. Leżałam na łóżku. Byłam szczęśliwa. Zaczęłam płakać. Płakałam i płakałam. Bez przerwy. Po prostu nie mogłam przestać płakać i nie wiedziałam, czemu płacz. Poczulałam się nagle senna.

### ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy powiedziałam dziadkowi, że Rose-ann i Sadie wyszły wieczorem, zaczął się drapać w głowę.

— Aż się muszę podrapać w głowę — powiedział.

— Czy przyjemny dzisiaj dzień, dziadku? — spytałam.

— Skąd mogę wiedzieć!

— Proszę cię, spójrz przez okno. Powiedz mi, proszę, żeby niebo jest błękitne — błagalam. Dziś musi być wspaniały dzień. Przecież to poniedziałek! Poniedziałek!

— A co ci na tym zależy? — dziadek ziewnął, tak jak starzy, zmęczeni ludzie. Smutno mi się zrobiło z jego powodu. Jest przecież stary, a musi chodzić do pracy. A ja mam lat osiemnaście i zamierzam spędzić cudowny dzień w parku ze swoim najdroższym przyjacielem, z Gordonem. Co miał dziadek na to odpowiedzieć?

— Nie dosłyszałam, co mówiłeś? — Znowu ziewnął. Tym razem przeciągnął i głośnieją. A w trakcie ziewania spytał:

— Co ci na tym zależy, czy dzień jest ładny, czy nie?

Co mi zależy? Może zapomnieli, że obiecał zabrać mnie do parku? Czy będzie robił jakieś trudności?

— Powiedziałeś, że na pewno zabierzesz mnie do parku — zwróciłam się do dziadka.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— A niby kiedy miałem to powiedzieć?

— Na pewno sobie przypominisz, dziadku. Zabierzesz mnie, prawda, powiesz?

— Nie — odparł. — Nie zabiorę.

Poszedł do łazienki się golić. Najlepiej poczekać, aż się ogoli. Powinnam o tym lepiej pamiętać.

(Dalszy ciąg nastąpi)

### Rembrandta sprzedam tanio... (II)

## Kim są?...

Kto kieruje zorganizowaną kradzieżą dzieł sztuki? Gdzie szukać ośrodka dyspozycyjnego?

Istnieją co do tego różne opinie. Włosi uważają, że ślady wiodą do Szwajcarii. Francuski ekspert komentuje to, ale nie podziela stanowiska Włochów: w Szwajcarii handluje się dziełami sztuki niemal bez ograniczeń. Na aukcjach wystawia się często przedmioty, pochodzące z wykopalisk archeologicznych, których włoskie pochodzenie nie budzi wątpliwości. Inaczej mówiąc, sprzedaje się je nielegalnie. Ale nie ma takiego międzynarodowego porozumienia ze skutkiem prawnym, które by przewidywało zwrot dzieła sztuki krajowi, z którego je wywieziono.

Zrabowane arcydzieła odbywają częstokroć bardzo komplikowaną drogę, nim trafią do rąk „konsumentów”. Wizerunek Madonny z XIII wieku, wykonany na drzewie, został zrabowany z małego kościółka w okolicy Rzymu w 1964 roku. Po „niewielkiej przeróbce”, dokonanej w Mediolanie, trafił do Szwajcarii i tam został sprzedany. Po pewnym czasie kupno tego dzieła zaproponowano właścicielowi antykwariatu w Nowym Jorku. Ponieważ był uczciwy, powiadomił o tym policję. Ale wizerunek Madonny był już w tym czasie w Urugwaju. Za wiedzą policji antykwariusz poprosił pośrednika o ocenę dzieła w Szwajcarii przez tamtejszych ekspertów. Tam wi-

zerunek Madonny skonfliktował Interpol. Po odrestaurowaniu powrócił on do Włoch. Ale nie aresztowano nikogo, ponieważ w Szwajcarii przemytni nie uznaje się za przestępstwo.

A co można powiedzieć o USA, tym najwięcej światem nabywców dzieł sztuki z „czarnego rynku”. W Stanach Zjednoczonych obroty w nielegalnym handlu dziełami sztuki i rzeźbami sięgają miliardów dolarów. Bardzo niedawno wykryto jedną z dróg, którymi odbywa się handel arcydziełami starożytnej rzeźby, przemycanymi z Kolumbii. Rzeźby, rozpiłowane na części w Gwatemali, przesyłane przewożą samochodami ciężarowymi do Hondurasu, a stąd bezpośrednio do USA, jako „towar drobnicowy”, lub „maszyny rolnicze”.

Jaki los spotkał zrabowane skarby kultury? Czy działają tu zorganizowane bandy międzynarodowych złodziei, przemytników, paserów i ich „klientów”? Kim są? Antykwariuszami, czy podziemnymi kolekcjonerami? Gdzie, na przykład, zniknęły arcydzieła Masaccia i Memlinga, obrazy Caravaggia, skradzione we Florencji i Palermo? Może zdołał teraz pałac kolekcjonera — mania na Florydzie, czy pałac emira na wybrzeżu Zatoki Perskiej? A może dostały się w ręce jakiegoś króla stali, nafty, czy masła? Bądź co bądź, każde z tych skradzionych dzieł przedstawia wartość kilkudziesięciu milionów franków.

— Pytaj mnie nieraz — mówi dyrektor jednego z wydziałów Interpolu — co za sens kraść obrazy mi-

strzów o światowym rozgłosie? Przecież nie można ich wystawić na widok publiczny i nie można ich sprzedać. Odpowiedź jest prosta: sztuka już od dawna stała się doskonałym biznesem. Istnieje mnóstwo kompanii, towarzystw akcyjnych, zainteresowanych w lokowaniu kapitałów w dzieła sztuki. Czy więc myśl, że w różnych krajach działają silne organizacje z wielkim kapitałem, które skupują kradzione dzieła sztuki, czekając cierpliwie na przedawnienie przestępstwa, jest aż tak nieprawdopodobna?

Dziś coraz trudniej zdobyć legalną drogą obrazy znanych mistrzów. Obrót macherzy „od sztuki” mogą z powodzeniem korzystać z 50-letniego okresu przedawnienia, które określa postanowienie Międzynarodowego Trybunału w Hadze. Zgodnie z nim, dzieło sztuki po upływie 50 lat od momentu jego ukradzenia, prawnie, przestaje być własnością poprzedniego właściciela. I chyba ma raczej znakomity włoski znawca dzieł sztuki, prof. Bellafiore, kiedy mówi, że arcydzieł Masaccio, Memlinga i Caravaggia nikt już nie ujrzy do końca tego stulecia i że pojawią się one, gdy nie będą już żyli ani sprawcy tych kradzieży, ani inspektorzy policji, którzy ich tropili...

Dodajmy jeszcze do tego, że i same muzea nie są wzorem przestrzegania prawa. Doktor von Botmer, kustosz wydziału nowojorskiego Metropolitan Museum of Art mówi, że „ani jedno szanujące się muzeum nie pozwoli sobie na kupno, znając wszystkie okoliczności, dzieła sztuki, skradzionego z innego muzeum”.

Niby tak, ale jak utrzymują włoscy eksperci, właśnie w amerykańskich muzeach znajduje się wiele byłych eksponatów z muzeów włoskich. W mu-

zeum uniwersytetu Yale oraz w Muzeum Brytyjskim hiszpańska policja wykryła cenne manuskrypty i inne przedmioty, ukradzione ze skarbcza kościoła katedralnego w Saragossie. Wyjaśniono, że sprzedawcą tych skarbów był amerykański antykwariusz.

Jeśli ktoś odnajduje skradzione mu dzieło sztuki, z góry wiadomo, że musiło go to drogo kosztować. Precyzuje to pewien prywatny kolekcjoner, któremu ukradziono swego czasu 24 cenne obrazy: „Kiedy prowadzi się rozmowy ze złodziejem, który ukradł dzieło sztuki, nie należy powiadać, że to dzieło sztuki, ale że to dzieło sztuki, z którego nie należy wycofywać się z zgłoszenia o stracie, jeśli zostało już złożone”.

Rzecz w tym, że nie wszyscy złodzieje odsprzedają swój łup. Istnieje sposób o wiele mniej niebezpieczny, niż kontrabanda: szantaż kompanii ubezpieczeniowych. Rozmowy i transakcje odbywają się tutaj w najgłębszej tajemnicy. Policja, przynajmniej oficjalnie, nie miesza się do tych spraw. Jeśli więc dzieło sztuki ubezpieczono na określoną sumę i stwierdzono, że zostało ono skradzione, kompania jest obowiązana wypłacić odszkodowanie. Rekompensatę płaci się zgodnie z umową o odszkodowanie. Jednakże żadna kompania ubezpieczeniowa nie pójdzie na to, jeżeli poszkodowany nie powiadał o tym policji i zanim nie rozpoczęło się śledztwo. A jeżeli poszkodowany, z jakiegokolwiek powodów, wycofuje swoje zgłoszenie o stracie, policja ta sprawa więcej nie interesuje.

W ostatnich latach obserwowuje się wiele przypadków, kiedy skradzione dzieła sztuki wracają do właścicieli po wyraźnej interwencji kompanii ubezpieczeniowej.

Dalszy ciąg na str. 7

## MARIA HOFFMAN

Z efektami „działania na wariata” zetknęliśmy już się wszyscy. Ma ono tradycję długą, niestety i niechlubną. Stwierdzono, że jest to wykonywanie pewnych czynności wbrew zdrowemu rozsądkowi. Przynosi na ogół więcej szkody niż korzyści.

Istnieje w Łodzi orkiestra, okryta ogromną sławą. Koncertuje od dziesięciu lat i w tym czasie zdążyła zadziwić swoim kunsztem nie tylko melomanów w kraju, ale i poza granicami. Była więc w kraju wiatraków i tulipanów, gdzie oprócz muzykowania publicznego nagrała także szereg polskich kompozycji. Na łamach Radia Hilversum. W austriackim Salzburgu wystąpiła w słynnej sali Mozarteum i znów tamtejsze radio zarejestrowało na swoich magnetofonach muzykę polską. Kiedy fundacja Herberta von Karajana zorganizowała w Berlinie Zachodnim Międzynarodowe Spotkanie Orkiestr Młodzieżowych, doskonale wykonała muzykę polską przyniosła namemu zespołowi złoty medal. Wiele radiofonii, w

okazuje się nieśmiało o „przypisananiu” orkiestry jakiejś instytucji, sugeruje się potrzebę uruchomienia etatów, mówi się wreszcie, że dobrze by było, gdyby działała na podstawach podobnych do Teatru Ziemi Łódzkiej, czy dawnej objazdowej Orkiestry Symfonicznej Poznańskiej. Wszystkie te projekty tym są uzasadnione, iż dalsze działanie bez obojczy organizacyjnego zaczyna przerażać możliwości zapalenia. To prawda.

Istnieje w Łodzi zespół wokalny muzyki dawnej „Bel canto”. Gdybyśmy chcieli wyjaśnić Człowiekowi, kto obecnie pełni funkcję jego rodziców, obawiamy się, że skojarzyłbyśmy szereg mezzosopranów. Na początku była to Państwowa Szkoła Muzyczna II stopnia, potem opiekę pełniła

Stuligrosza wyjeżdża do NRE, chor filharmonii Krakowskiej do Holandii. Zajrzalam do ostatniego biuletynu ekspozycji naszej sztuki wykonawczej — Pagartu. Nie ujrzałam tam „Bel canto”.

Na marginesie: w rzeźnym biuletynie nie znalazłam wzmianki o „Pro Musica”.

Przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym powstał i działa Zespół Kameralny Tadeusza Ochlewskiego. Dlaczego zespołowi „Bel canto” nie mogłoby zapewnić szerokiej opieki Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, które, jak dotąd, największy nacisk kładzie na działalność pedagogiczną (społeczne ogniska artystyczne). Wszak mecenat i protektor nie przerasta na pewno możliwości organizacyjnych LTM, a korzyści dla łódzkiej kultury mogą być niewspółmierne z włożonymi nakładami.

Jest w Łodzi organizacja muzyczna, zobligowana założeniami statutowymi i oficjalnie składanymi deklaracjami do rozłożenia opieki nad spontaniczną, a wybitną mu-

zyczna ich to jednak kwestia dalekiej przyszłości.

Tymczasem od roku istnieje Ogólnopolska Estrada Młodych Muzyków, która kontynuuje działalność Studenckiego Ośrodka Kultury przy ZSP i Stowarzyszenia Polskiej polska Jeuneses Musicales). Łódzka Estrada MM uzyskała status ogólnopolski i zgodnie ze swoimi założeniami daje zarówno szansę koncertowania młodym muzykom, jak i osiągnęła imponujące rezultaty w organizowaniu wielu cennych imprez. W wielu miejscowościach w Polsce słuchano łódzkich zespołów właśnie dzięki jej zabiegom. Ale jak dotąd Estrada MM koncentruje swoje wysiłki — jak powiedziałam — na dawaniu szansy młodym i na umożliwianiu ludziom, którzy mieszkają poza wielkimi miastami, kontaktu z żywą muzyką wykonywaną w atrakcyjnej oprawie. Przykładami mogą tu być np. „Lwie Dni Muzyki”, połączone z wystawami plastycznymi i koncertami kameralnymi w zamku nieborowskim, cykl imprez w Legnicy i planowane w Kazimierzu, Zamościu czy Naleczowie. Rzutka instytucja o 3-osobowej notabene obsadzie, podparta moralnie i lokalowo przez Ludowy Instytut Muzyki, nie ma jednak możliwości ogarnięcia swoim zasięgiem całego ruchu koncertowego. Może właśnie SPAM uznać za celowe — traktując Estradę MM za załączek przyszłego Ogólnopolskiego Biura Koncertowego — podjąć wysiłek dla zapewnienia jej odpowiedniego poparcia?

Tak się dziwnie złożyło, że pozytywne przykłady w nielicznych rozważaniach wynikały z działania „na wariackich papierach”. A dziwniejsze jeszcze jest to, że zgodziła się one z kierunkiem postępowania, wytyczonym przez VI Zjazd partii:

„Celem polityki kulturalnej powinno być stałe pomnażanie dorobku kultury narodowej, upowszechnianie najbardziej wartościowych treści kultury, wspieranie aktualnych i rozwijanie nowych, oraz wyższych potrzeb kulturalnych narodu”.

A więc może uznać, że tylko w takim działaniu jest sens i metoda? Jeśli tak, to zatrudnia się o to, aby pozostał entuzjazm, jaki towarzyszył wymienionym poczynaniom i aby uzupełniły go sensowne podjęcia organizacyjne. Tytuł artykułu stanie się wówczas nieaktualny.

# GRZMI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Co rozumiem przez tzw. „określone warunki”? Na przykład festiwal kolobrzecki: ludzie są na czasach, odpalają się, odpoczywają, o pracy nie myślą, jeno o zabawie. I stąd też zapewne w amfiteatrze klaskaliby rytmicznie w rączki i śpiewaliby refren wdzięcznej piosenki pt. „Dawniej i dziś”, która krytykując dawne sposoby prowadzenia wojen („...pracochłonne były te wojno-godziny, moc czasu zabierał każdy bitwo-trup”) chwali jednocześnie aktualną wiedzę wojskową. Wystarczy „jeden galki skręt” i już leżą bomby atomowe, wodoro-we, Do wyboru, do koloru, brać i wybrać. Nie ma tu jak wojna nuklearna w rytm refrenu piosenki dzieła utalentowanej spółki autorskiej A. M. Wasilewskiego i E. Sojki:

„To co niegdyś to już nie to, bach rakietą, bach rakietą! Nowoczesność, że aż strach, bach rakietą, bach!”

Ktoś zawistny autorem skreślił tę sympatyczną piosenkę z konkursu, profesjonalistów, ale inny przytomniak naprawił błąd i zamieszczył ją w dwudziestotysięcznym zbiorku piosenek „Kolobrzeg 73”.

2.

Przyszła do nas nowa, dziwna moda: w festiwalach piosenek zaczęli coraz częściej brać udział aktorzy. Inie byłoby nie w tym zleżo, gdyby potrafili śpiewać. Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu, szczególnie zostały uhonorowane udziałem artystów scen polskich. I tak pamiętam jak ongiś Wojciech Ślęzion śpiewał piosenkę pt. „Wojskowa grochowa”. Szał był taki w amfiteatrze, aż zaczęłam się obawiać, że po tym oszalałym sukcesie ten, jakże sympatyczny odtwórca będzie reprezentował nasz kraj na festiwalach w San Remo, San Francisco, bądź w San Sebastian. Skończył się na Sandomierzu. Berło po mistrzowsku przejęli inni aktorzy: Józef Nowak, Andrzej Stecinger, Janusz Zakrzewski, Andrzej Szajewski itp.

3.

Ciężką pracę miała w Kolobrzegu Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debięcha. Ta doprawdy znakomita orkiestra, złożona jest z ludzi raczej młodych, zdolnych, często niespokojnych artystycznie, a przez to szczególnie cennych dla lidera Henryka Debięcha, którego rzetelna praca i talent szczególnie owocuje w ostatnich latach. Dyrygentowi i jego orkiestrze

## „Na wariackich papierach”

tym sied radia BBC poniosły w eter tony „Divertimenta” Grażyny Baciewicz, a wśród zaproszeń na kolejne zagraniczne koncerty znalazła się także oferta z Lucerny. Na zamknięcie tamtejszego Festiwalu łódzka orkiestra wystąpiła obok filharmonistów z Berlina Zachodniego pod samym Herbertem von Karajnem.

Orkiestra nazywa się „Pro Musica”. Działa „na wariackich papierach”. Nie ma etatów, urzędników, aparatu administracyjnego, transportu. Skupia teno wykonawców.

Na jakiej zasadzie funkcjonuje i chlubnie działa ten zespół? Z czystego umiłowania sztuki. Ono sprawia, że w każdym utworze precyzyjnie wykonania idzie w parze z osiągalnym tylko dla wytrawnych instrumentalistów intuicyjnym wyczuwaniem intencji twórczej kompozytora. Dowód na to ma w swojej taśmotece Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia. Dowodów na to, że jest to muzykowanie znakomite technicznie, z sercem jednocześnie, przysparza każdy koncert „Pro musici”, założonej i kierowanej od początku przez doc. Zbigniewa Friemana.

W kołach muzycznych prze-

PWSM, następnie w konkubinatowo-opiekunckiej związku wstąpiło Zrzeszenie Studentów Polskich, a dzisiaj naprawdę nie jestem w stanie polapać się w tym, kto zespołowi patronuje. Tak na dobrą sprawę jedną tylko osobę można wskazać jako „rodzonego” i wiernego ojca. Jest nim dyrektor PSM II stopnia, mgr Kazimierz Debski, jednocześnie kierownik artystyczny „Bel canto”. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby K. Debskiego przeniesiono np. na stanowisko, które u niemożliwiliby mu opiekowanie się zespołem.

Ale dyrektor szkoły i kierownik zespołu nadal owocnie omiają organizacyjne rąfy, o jakie rozbicie się może działalność „Bel canto”. Nie jest jednak w stanie, mimo wysokiego poziomu wykonawczego i ciekawego repertuaru, znaleźć nikogo, kto potrafiłby podjąć się funkcji impresaria.

Zaobserwowane swoimi sprawami instytucje muzyczne ani nie mają zamiaru, ani czasu i możliwości, aby zabrać o interesy amatorskiego w gruncie rzeczy zespołu. Niezależnie od tego, że jest on znakomity. A zaobserwowanie na tego typu muzykę wokalna jest. Ot, dla przykładu zespół

zyczna działalnością twórczą. Myśle tu o Łódzkim Oddziale Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Przedstawiłam problemy, z którymi boryka się „Pro Musica” oraz te, które dla SPAM nie są tajemnicą. I, moim zdaniem, właśnie SPAM powinno uparcie walczyć o pomoc dla tych zespo-

W imię interesów naszej kultury muzycznej widzę także piękne pole do popisu dla SPAM przy propagowaniu dziesięcioletniej działalności zespołu „Pro Musica”. Jeśli jego wykonania były dobre dla BBC, Hilversum i Polskiego Radia, to dlaczego pozostały dotychczas nie zauważone przez „Polskie Nagrania”. Łódzki zespół nie doczekał się dotąd propozycji nagrania płyty. Inne polskie zespoły tego typu mają ich po kilka. Ale nie ludźmy się. Oferta sama nie przyjdzie.

Nie ulega wątpliwości, że palącym problemem dla całej polskiej muzyki poważnej staje się konieczność powołania do życia Biura Koncertowego, które, jak „Estrada” w muzyce rozrywkowej, spełniałoby funkcje impresaria i menażera. Projekt powołania istnieje ponad w SPAM. Rea-

## SZLAKIEM ZWYCIĘSKIEJ WIOSNY

Dalszy ciąg ze str. 1

wiatr, major Dobiegala zdejmuje czapkę, kiedy wchodzimy na oświetlone kolorowymi latarniami molo. Ktoś usiłuje na swój sposób uczcić zaślubiny z morzem, jest kupa śmiechu, choć wszyscy drżą z zimna. Fala rośnie i bije wściekle, molo trzeszczy pod jej naporem; jakaś zapóźniona para tuli się na ławce; słone bryzgi wpadają na pomost, płożą ostatnich spacerowiczów. Lecz na wzburzone morze można patrzeć nawet w nocy, bo jest w nim zawsze groźne, urzekające piękno...

A kiedy wstaje jasny dzień i słońce płynie przez niebokres, grzywiaste fale przybierają zieloną barwę. I choć nadal dmie silny wiatr i łopocze czarna flaga, widać pierwszych śmiałości żaływających kąpieli. Plaża jest pełna, nagie ciała smażą się nawet na betonie, tuż u podnóża smukłej sylwetki pomnika „Zaślubin”, ozdobionego mozaiką przedstawiającą wojów najdawniejszych, aż po żołnierzy walczących o to miasto w 1945 r. Wszędzie

floczka się turyści, pozuja do zdjęć na tle pomnika i pod ogromnym cielskiem latarni morskiej obiegają stoiska z pamiątkami, miesza się obcojęzyczna mowa, zapach morza tłumy woń ryb skwierzących na blachach licznych nadbrzeżnych smażalni. I tak jest przez cały dzień, a gdy nadchodzi wieczór, grają orkiestry i zawodzą refreny w licznych restauracjach, takich jak „Skanpol”, „Fregata”, czy „Morska”.

Kolobrzeg 1973 to miasto wesela, czyste miasto, pełne zieleni, szerokie ulice, wille i domów wczasowych o pięknej, nowoczesnej sylwetce architektonicznej. 28 lat temu były tu dymy, ruiny i zgłiszcza. Dziesięć lat temu, w Kolobrzegu, było to miasteczko westernowe: więcej wojskowych niż cywilów, pracował port, gdzie wydławowano węgiel, obcy marynarze wóclczyli się po kilku ocalałych ulicznkach, a przy każdej z nich znajdowała się knajpa; lala się wódka, toczyły

bójki i padały strzały na wiatr...

Pamięć o roku 1945 przypomniły wizyty na tzw. punktach pracy, gdzie oficerowie zapoznawali się z historią i pociągnięciami taktycznymi podczas toczonych tu walk. Oto jesteśmy w Zieloniewie, na południowych zachód od Kolobrzegu. Wspina się pełną drogą na wzniesienie, jest cicho, tylko ten ciągły wiatr od morza targa kłosa mi zbóż; jakiś dziadek pasie krowy i ze spokojem przygląda się wojskowym; w dole zielona niska łąka, na niebo-kresie czerwienią się w słońcu dachy miasta: białe i czerwone konary, kolegiata, wieża ciśnień, gazownia. Główne punkty oporu Niemców. Podobny widok z waju od strony wschodniej. Tutaj łąki już zmeliorowano, ale wówczas, w połowie marca, grzęźli w bagnach żołnierze polscy. Jednak przeszli te bagna, zdobyli tor wyścigowy, weszli do miasta. Niemcy wysadzili w powietrze kościół św. Jerzego, sądząc, że znajdują się w nim Polacy. Podczas walk udało się schwytać obserwatora niemieckiego z szafrem ogniowym. Dzięki te-

mu Polacy mogli kierować ogniem dział okrętowych na szereg niemieckie...

Jeszcze trudniejsze zadanie mieli walczący od południa i zachodu. General Poplawski stosował różne zabiegi taktyczne, ale trzy pierścienie obrony niemieckiej były bardzo silne. W mieście znajdowało się około 40 tysięcy żołnierzy i cywilów. Polacy przyszłi szosą trzebiatowską, ale atakowali też od strony Grzybowa.

Walki zaczęły się 7. a zakończyły 18. marca. Bo Niemcy posiadali ogromne zapasy żywności i amunicji. Stosowali terror. Ci, którzy nie chcieli walczyć kryli się w piwnicach, zostawali natychmiast rozstrzelani. Broń i żywność otrzymywali z morza i z samolotów. Wspomagała ich ogniem artyleria okrętowa. O wiele skromniejsze było wyposażenie i Armii...

Polacy podszli do skrajni miasta, pod cmentarz. Dalej była otwarta przestrzeń i ufortyfikowane budynki koszar. Jedną z kompanii dotarła do murów i założywszy ładunek wybuchowy, wyrwała otwór, przez który wdarła się na teren koszar. Prawie wszyscy zginęli... Znamy to z filmu „Jareżbina czerwona”. Teraz w tamtym miejscu znajduje się tablica pamiątkowa...

Żołnierze i Armii, walcząc już nie tylko o każdy dom, lecz o każdy pokój, zdobyli Kolobrzeg i dokonali tego, czego nie mógł dokonać Napoleon Bonaparte. Okupili zwycięstwo śmiercią 1200 żołnierzy...

Chodzę po doskonale utrzymanym, oddanym na XX-lecie LWP cmentarzu kolobrzeckim. Piękne żywopłoty, akacje i topole, dużo kwiatów, niebieskie i żółte lilie, a wśród nich szeregi zbiorowych mogił pod kamiennymi tablicami. Spośród tysięcy nazwisk wpisując nazwisko ppłk. Przybylskiego i jedynej bohaterki kobiety — ppor. Emilii Gierczak-Towarzystwo przychylił się nad jedną z tablic i kładzie wiązanek kwiatów. Tu spoczywa jego wujek, kanonier Paweł Bondzel...

Ci ludzie już nic nie powie, ale żyją jeszcze świadkowie i uczestnicy wydarzeń tamtych dni...

2.

Kiedy kończy się turnus, sala dancinowa GKO w Kolobrzegu tańczy i śpiewa. Samotne, diabelsko opalone kuracjuski z kusząca nadzieją patrzy za mundurem lub cywilnym ciuchem, refreniska w obcisłych szortach ciągnie tkiwicie „Condora” i szaleje nad perkusją jakiś starszy sierżant; w tańcu, w tych spojrzaniach rodzą się namietności, miłości na kilka godzin, bo o świecie rozstanie...

Tego popołudnia w dancinowej sali nie było muzyki: popłynęły wspomnienia z marca 1945, posypały się kombatankie opowieści. Po kurtuazyjnych powitaniach kombatanci usiedli za stołem i zaczęła się „gra w marynarza” — kto pierwszy zarznie; sytuacje

uratowała jedyna kobieta, która, jak to kobieta, ostatnia wpadła zadyszana na salę. Podporucznik Irena Sikorska, jeszcze młoda, przystojna, a przecież była trzykrotnie ranna, ma 80 proc. utraty zdrowia i II grupę inwalidzką...

— Ja nie walczłam o Kolobrzeg — mówi skromnie. — Byłam tylko telefonistką w Dywizji Kościuszkowskiej... A jak się to zaczęło, skąd przyszedł pomysł? Było sporo przeszkód. Bo jak poszłam do „wojnostatu”, a miałam wówczas 17 lat, zaczęło się ze mnie śmiać i tłumaczyć, że w wojsku nie ma etatowych nianiek. Oleję sprawiłam lanie, chcąc mi wybrać z głowy wójczkę, więc uciekłam z domu i jakoś dostałam się do Siele. Do namiotu generała Berlinga wpada jakiś kapitan i krzyczy, że wszędzie brakuje żołnierzy, więc generał wskazuje na mnie, mówi: — Masz żołnierza, do łączności w sam raz...

Kapitan zzieleniał ze złości, ale wziął mnie. Dostałam taklo wielkie buty, że kiedy robiłam w lewo zwrot, to czubki zostawały na prawo... To są śmieszne historie, a przecież toczyła się walka na śmierć i życie. Nigdy nie zapomnę — mówi ze wzruszeniem, jak pochowałam chłopca, z którym wychowywałam się od dziecka...

Kapitan Bielen wspomina swego „politruka”, świętego batalionowego, który zawsze pierwszy prowadził żołnierzy do boju. Potem wraca do własnych przeżyć.

— Od tamtych dni cierpię na nerwie, mam utracony słuch, drezcza mnie sennie majaki. Pamiętam te łąki od strony Koszalina. Podziurawione koszary, rozrzucone papiery, chmury dymu nad miastem, śpiew katiluz. Kiedy ludność niemiecka usiłowała wydostać się z tego piekła, żołnierze hitlerowscy strzelali do niej... Był taki moment, kiedy Niemcy wypierali nas z łasku. Przy woźe z amunicją padł

# orkiestra garnizonu

trze przynajmniej „Złoty Pierścień”. Należy się im również medal za ratowanie tonących. Najładniej tonął Andrzej Stockinger w utworze „Tyłko marsz”. Najbardziej niesfor- nym topielcem — rezydentem — był Jerzy Michotek. Ale ad rem. Andrzej Stockinger przez całe osiem tak- tów był „obok” orkiestry (dwa lata temu Janusz Zakrzeński bił rekord przez cały czas trwania utworu). Henryk Debich uratował sympatycznego artystę Teatru Rozmałości w Warsza- wie od ostatecznej kompromi- tacji wtaczając go prawie siłą we właściwą tonację i rytm. Warto dodać, że artys- ta w smokingu wyglądał smacznie, włosy obciął bar- dzo krótko, brawa miał je- szcze krótsze.

4.

Jeśli już sobie tak sym- patycznie gawędzimy o kul- turze, to sygnalizujemy rów- nież, że dawno niesłyszany

Jerzy Michotek również był oglądany w Kolobrzegu. Śpiewał wesołą piosenkę „Bo dla taty, bo dla mamy”. Naj- weselej jednak było, kiedy pan Michotek „rozminął” się z orkiestrą, uśmiechnął się mile, rozłożył przepaszająco ręce oraz piosenkę. Obiekty- wnie donoszę komu trzeba, że artysta Michotek był zna- komicie przyjęty przez pu- bliczność, gorzej natomiast byli przyjęci: Edek z Jezi- oran, i Stenia z Warszawy. Bogumił Kłodkowski śpiewał „Idzie wojsko”, natomiast Stenia Kozłowska wykonała „Kaczeńce” — piosenkę lau- reatke Kolobrzegu — 69. Ze- by było ciekawiej Maria Ja- rzębska piosenkarka, która zdobyła w 1969 r. „Złoty Pierścień” dla „Kaczeńców”, w festiwalu uczestniczyła, lecz śpiewała co innego.

5.

Festiwal Piosenki Żołnier- skiej jest w zasadzie konkur- sem autorskim, lecz niech mi ktoś spróbuje zaprzeczyć, że o wartości piosenki nie decyduje również wykonaw- ca. Zło zaczyna się w tym

momencie, kiedy nie naj- lepszej piosence zaczyna bra- kować inteligentnego wyko- nawcy. Przyznam się szcze- rze, że bardziej niż piosenki interesują mnie wokaliści. Wypróbowana dotychczas ka- dra piosenkarzy estradowych zaczyna się kruszyć, a na- stępców niestety brak. Wydaje mi się, że Mi- nisterstwo Kultury i Sztu- ki winno wziąć się za wła- ściwą formę festiwalu piosenki w naszym kraju. Ale przede wszystkim należy powołać kilka szkółek piosenkarz- skich, zreorganizować wydział woj- skowe PWSM i zrobić wiele innych potrzebnych rzeczy, o których tak wielokrotnie pi- sałem, że już mi się więcej nie chce.

6.

Sądziłem, że o takich róż- nych sprawach porozmawia się na bankiecie z okazji za- kończenia festiwalu, bo to miło czasem dłużej pogawę- dzić o kulturze. Po bardzo konstruktywnych wypowie- dziach niektórych panów na temat m. in. rozrywki, spo- tkanie to osiągnęło apogium familiarnego zbratania, gdy jeden z uczestników rzekł do długowłosego muzyka jaz- zowego:

— Dżes, dżes, czego się człowieku dżes.

Kiedy zaś opróżniono już ostatnią butelkę, pogadano jeszcze chwilę o pogodzie, modzie i młodzie, o Annie German (że taka wielka), o Sławie Przybylskiej (że taka mała) i w serdecznym, przy- jacielskim nastroju uczestni- cy spotkania rozeszli się do dalszych owocnych prac nad podniesieniem na wyższy po- ziom krajowej rozrywki, któ- rej częścią poważną są — jakżeż liczna — festiwale piosenkarzkie.

ANDRZEJ JÓZWIĄK



Dalszy ciąg ze str. 5

niowych. Kompanie, ofia- ry grabieży i, oczywiście, sami przestępcy nie roz- wodzą się o szczegółach transakcji. Najbardziej ty- powym przykładem była kradzież i zwrot, w 1961 roku, ośmiu obrazów Cezan- ne'a, w tym znakomitego płótna „Grający w karty”, które Luwr wypożyczył ga- lerii Vendome. Obrazy nie były ubezpieczone, ponie- waż Luwr nie zawiera um- ów z towarzystwami u- bezpieczeniowymi. Jednakże pewna austriacka firma wzięła na siebie ryzyko u- bezpieczenia całej wystawy na sumę miliona franków. Po kradzieży przedstawici- ele firmy natychmiast powiadomili — w jaki spo- sób, pozostaje do dziś ta- jemnicą — złodziei, że go- towi są zapłacić 50 milio- nów franków za zwrot o- brazów. Różnica między mi- liardem a 50 milionami jest oczywiście ogromna, jednak- że przestępcy widzą do- skonale, że nie uda im się sprzedać „to- waru” i ofertę przyjęli.

W zasadzie, jeśli wartość obrazu jest wystarczająco duża, można zapropono- wać jedną dziesiątą część, żeby „transakcja” była jed-

# Kim są?...

nak opłacalna. Po upływie kilku dni policję w Mar- sylii powiadomiono tele- fonicznie, że osiem płócien, skradzionych z Vendome, znajduje się na Avenue Ca- mille w ukradzionym samo- chodzie. Obrazy Cezanne'a powróciły na swoje miej- sca, złodziei nie wykryto, a austriacka firma ubez- pieczeniowa zachowuje swoją tajemnicę.

Co mogą zrobić poszko- dowani? Powiadomić poli- cję, podać do publicznej wiadomości charakterysty- czne cechy skradzionych przedmiotów, zamieścić w prasie ich fotografie... i cze- kać. Czasem złodziei łapia, ale są to zawsze „amato- ryzy”. Pozostaje jeszcze dro- ga ominięcia policji i po- szukiwania kontaktu z ra- busiami. Można oczywiście zabezpieczyć swoją kolekcję sygnalizacją elektroniczną, która zresztą nie zawsze się sprawdza, można umieścić cenne przedmioty w specjal- nych skarbcach. Pewien bank francuski zbudował taki skarbiec przy Palais de Chaillot. Kolekcjonerzy

mogą tam przechowywać swoje arcydzieła i od cza- su do czasu popieścić nimi oczy.

Ale to drogo kosztuje, a muzea i kościoły mają zbyt skromne środki, by pozwo- lić sobie na dozorców czy urzędników elektronicznych. Częstokroć nie mają one nawet fotografii skradzion- ych dzieł sztuki.

Przy ścisłej współpracy muzeów z policją i Interpo- lem, można by w dużym stopniu ograniczyć ten ro- dzaj przestępstw. Niestety, wiele z nich wyraża w słowach protest przeciw- ko bezprawnym transak- cjom, ale w rzeczywistości nie ma nic przeciwko oka- zom wzbogacania swych muzeów w znane dzieła sztuki wątpliwego pocho- dzenia. Cóż więc mówić o prywatnych kolekcjonerach, a tym bardziej o zakon- spirowanych „miłośnikach dzieł sztuki”, kompletują- cych swe zbiory bez żad- nych skrupułów.

(Dalszy ciąg nastąpi)

J. CZECH

# MARYNARZ W NOC SIĘ BAWI...

Dalszy ciąg ze str. 4

Co za przypadek! Ten biały, piękny statek w kanale por- towym Dunkierki, sfotogra- fowany przez jakiegoś Fran- cuzka, to przecież „Conrad”. Nasz „Józef Conrad”, który...

A list był od Janusza, młodego elektryka z „Oleś- nicy”. Imponował nam wszystkim swoją sprawno- ścią fizyczną, opanowaniem, rozsądkiem, humorem, mist- rzowskim pasem w judo... A teraz pisal z Melbourne:

... ożeniłem się! Jestem szczęśliwy i zakochany jak sztabak. Otrzymałem dyplom of- ficera, zapisany byłam w kole- jce na awans tylko, że... By- ło to dwa tygodnie po naszym ślubie (...). grzecznie zapropo-

wał mi, abym — zanim otrzy- mam awans — pojechał w jesz- cze jeden rejs jako elektromon- ter na M/S „Matejko” do Szwec- ji. Na sześć dni tylko! Ofera była bardzo necna... Naste- pnego dnia miałem być „na bu- dule” o ósmej rano. Wziąłem więc z domu tylko parę dro- bniaków, ubranie robocze i po- jechałem na statek. Stał w Gdańsku. Na miejscu, tuż przed odjazdem, dowiedziałem się, że rejs zamiast sześciu dni trwać będzie... sześć miesięcy. To był dla mnie szok. Szybko zadzwoni- łem do żony. Przyjęła dobrze tę wiadomość, nawet mnie pocie- szła. W chwili później wypli- neliśmy. Wyobraź sobie, że... płakałem. Dopiero potem z listu dowiedziałem się, iż w parę minut po moim telefonie żona otrzymała następny z wiano- moscia, że umarł jej ojciec. (...) To, co ja tu na statku przeży- wałem było koszmarem, ale w porównaniu z jej przeżyciami... Od samego początku mocno do- staliśmy po kryżu. To nas jeszcze bardziej scaliło — tylko

koszt, jaki za to zapłaciłm jest według mnie nieco za du- ży. Więcej takich historii nie powinno być. Pozdrowienia od mojego kolegi z kabiny — dla Ciebie. Też łodzianin ..."

Więc jak to brzmia- ła dalej ta piosen- ka, którą ułożyli kiedyś nieopatrznie — na prze- kór „szczerom ląd- wym” — chłopcy z „Da- ru Pomorza”...?

„...Morowa mary- narska wiara, szczęśny jej życia los...”

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

ranny koń. Podczołgałem się pod wóz, odrabiałem postron- ki i zawróciłem. A Niemcy by- li tuż, tuż... Na drugi dzień obok mnie zginął ojciec i ja — dwaj synowie... Gineji nasi żołnierze na bagnach od strony Białogardu, potem w mieście, walki toczyły się o każde pomieszczenie...

— Mój syn — wtrąca któ- ryś z kombatantów — dziś tego nie rozumie...

Artylerzyści strzelali bez przyrzadów celowniczych, nawet 40 pocisków nie zdo- łało zapalić „białych” ko- szarów...

Utknęło działo, padł koń. Plutonowy Sokolowski pod- czołgał się pod działo. Se- ria z niemieckiego ceka- mu, 27 ran, śmierć...

Jeden z żołnierzy, niosąc bęben z kablem, padł po środku ulicy. Drugi uświłował się przezołgać i też zgi- nął. Trzeci z tym bębmem przebiegł przez ulicę, ale został trafiony na chodni- ku...

Kulawy staruszek Nie- miec bładził po zgłi- szczach i modlił się za za- bitych i spalonych...

Stara Niemka przenosiła w koszyku wiklinowym zboże, okruchy chleba i kar- mila drób. Okazało się, że dostarczała Niemcom infor- macje o rozmieszczeniu wojsk polskich...

Te epizody przypomniał podpułkownik Franciszek Jasiński. Były też inne prze- szkody. Np. gorzelnia, któ- rą natychmiast obsadziła żandarmeria polowa. Albo opuszczona farma, gdzie żoł- nierzy zaatakowały dzie-

siatki głodnych i zdzicza- łych tchórzofretk...

Wspominano plutonowe- go Grzejka, mieszkające- go w Przemyslu, który trzy lata temu, wraz z żoną i do- rosłym synem przyjechał do Kolobrzegu na spotkanie z młodzieżą. W 1945 jako do- wódca zwiadu pierwszy do- szedł do morza od strony Grzybowa. Z rozprutej pier- zyny uszły biało-czerwo- ną flagę, osadzili na su- rowej tytynie i zatknęli w morzu. Niemcy stracili tę flagę. Wtedy zbudowali z pamiątek pływak i puścili z flagą na morze. Nabrali wody morskiej do karafki i zawieźli do Warszawy, przekazując ją w ręce B. Bieruta i M. Roli-Zymier- skiego. Później odbyły się oficjalne zaślubiny z mor- rzem z udziałem Piotra Ja- rozewicza...

Lecz marsz do morza zaczął się o wiele wcześniej. Przypomniał o tym płk Kar- piński, kiedy w pochmur- ny dzień stanęliśmy na po- rośniętym stadami filole- towego lubinu wale Pomorskim pod Walcem. Bunkry pojedyncze i zes- polowe; połączone koryta- rzami. Wydawały się, że nie do zdobycia. Bo otocz- one jeziorcami, wyposażone we własną elektryczność, wodociągi i wentylację, osło- nięte żelaznymi siatkami, pancernymi płytami igło- wicami. Wysadzone już po wojnie, jakby zastygłe, sterczą dwumetrowej gru- bości bryły żelbetu z po- wykrecanymi prętami sta- ła...

— Jak wiele domów mo- żna by z tego zbudować — mówią oficerowie.

— Jak wielu ludzi poło- żyło tu głowę...

A potem był Mirosła- wicz i rozkaz dla I Armii marszu na Kolobrzeg.

Est taka mała wieś! ] Brobujsko, dziś zwa- na Zeńskiem. Wychod- zimy za sad jednego z gospodarstw. Płaskie, długie pole, na haryzoncie kepy drzew, gdzie znajdował się punkt oporu Niemców. Można go było zdobyć szybkim atakiem, przeto generał Popławski zdecydo- wał rzucić do walki czołgi i kawalerię. I tak od- była się ostatnia w II woj- nie światowej szarża ka- waleryjska.

Kiedy odchodzimy, gos- podyni napomyka o mo- gile żołnierskiej. Prowadzi mnie do ogródka, gdzie wśród redlin, ziemni- aków pokazuje otoczony kamiennym murkiem (to pra- ca harcerzy), grób kapra- ła Władczyszyna. Odkryto go zaledwie 10 lat temu, matka i córka po raz pierwszy dowiedziały się o losie męża i ojca...

Zbieramy się do odjazdu, na łącze fotoreporter robi zdjęcia dzieciom z... kozą. Autokar rusza piaszczystą drogą, w tumanach kurzu biegną za nim dzieciaki... Wysokie, strome wzgó- rze, porośnięte wy- paloną przez słońce trawą. Aby się dostać na szczyt należy pokonać 220 cementowych stopni. Jako je- den z pierwszych dociera tam płk Karpiński. Wiadomo, stary frontowy żołnierz. W dole płynie Odra. W myśl umowy przelatują nad nią helikoptery Armii

Ludowej NRD. To przecież granica pokoju i przyja- żni.

Stoimy u stóp kolumny, na szczycie której rozpo- ścięta skrzydła ogromny biały orzeł. Dokładnie 1001 lat temu na lewo od tego wzgórza, pod Osinowem, Mieszko I stał się z woj- skami Hodona. Niemcy prze- ważali, Mieszko wycofy- wał się pod naporem, by ukryć się za murami o- bronnymi Cedyni. Ale wów- czas przystąpił do walki, ukryty dotąd wśród po- bliskich wzgórz, jego brat Czebor. Zaatakowani od tyłu Niemcy wpadli w pa- nikę. Ratowali się ucieczką i toniły w nadodrzańskich bagnach.

O tym wydarzeniu pa- miętano w r. 1945, kiedy I Armia po zdobyciu Ko- lobrzegu przeszła do for- sowania Odry.

Oto kolejny punkt pracy. Wzgórze w Siekierkach. Tu znalazły się 13 kwietnia od- działu polskie, by w myśl rozkazu z 5 kwietnia for- sować rzekę na 15-kilome- rowym odcinku frontu, od Starej Rudnicy po Goz- dów. Nie łatwe to było zadanie, bo po obu brze- gach rozlewała od 1000 do 2500 m, wiele kilometrów dalej jeszcze koryto Starej Odry. Tu, w Siekierkach, Niemcy zbudowali nasypy, najężone ziemiankami i bunkrami; strzelali też ze studzien bunkrowych, ukry- tych pod wagonami kolej- owymi...

Oglądam punkt dowodze- nia w Gozdowie. Pozostały stare transeje, samo sta- nowisko przekształcono w skansen. Po Odrze płyną

barki; żołnierze naprawiają żużlową drogę, prowadzącą do punktu dowodzenia.

W Muzeum Sapersa sta- re łódzie, prymitywne pon- tony, ręczne, drewniany ka- far. Konfrontuję to z prze- glądem broni, jaki miałem możliwość obejrzeć w jednym z pułków podczas „dnia techniki”. Rozkładane mosty na gasienicach, trans- portery opancerzone, czołgi, radiostacje. Nie ma porów- nania.

— Proszę pana — po- wiedział jeden z oficerów — ja jeszcze w 1952 roku nosiłem taki mundur, że kiedy się schyliłem, skraj bluzy wjeżdżał pod łopatk- i...

Mimo nie najlepszego u- zbrojenia przeszli Odrę. Ale zginęło ich tysiące. Polo- żony u podnóża wzgórz, otoczony leśną ciszą emen- tarz w Siekierkach, jest miejscem wzbudającym zadumę i zastanowienie. Najpiękniejszy ementarz wojskowy w Polsce. Jak na Monte Casino rządy białych krzyży. Chodniki z wielkich płyt, tysiące wie- lobarnych kwiatów. A po środku pomnik matki, tu- lącej dziecko na tle rozpo- startych kamiennych skrzy- deł. Symbol przygarnięcia przez matkę — Ojczyznę ziem, które jej kiedyś za- brano...

Uwieńczeniem podróży wojskowo-historycznej był powrót nad morze i zetknię- cie się już nie z historią, lecz ze współczesnym dniem wielkiego przemys- łu. Chociaż i tu nie brak śladów historii, bo dzisiej- sza stocznia im. A. War- skiego w Szczecinie była

miejscem walk; rozpaczli- wych prób całkowitego jej zniszczenia przez Niemców.

Oficerowie, otrząskani przecież z wielką techni- ką, nie ukrywali podziwu, zwiędając olbrzymie hale, gdzie tnie się z dokładnością do milimetra grube arkusze blach oraz patrząc na po- tężne suwnice, unoszące z dziedzińca łatwością całe e- lementy kadłubów. Naj- większe jednak wrażenie wywołał widok budowa- nego 32-tysięcznika do przewozu węgla. Na mo- rzu, przy zanurzeniu, trudno ocenić wielkość statku. Dopiero w stoczni można poznać jego ogrom: 33 m wysokości i 200 m długości...

Konfrontacja wiadomości teoretycznych z rzeczywi- stością, zgłębienie epizodów z walk I Armii były chyba najbardziej cennymi osiągnięciami podróży wojsko- wo-historycznej. Zwłaszcza w obliczu 30 rocznicy pow- stania LWP.

Jak już napisałem, prze- jechaliśmy autokarem 1600 km. Wielu oficerów nie uk- rywało oznak zmęczenia. Wtedy płk Karpiński po- wiedział:

— A oni, ci z I Armii, nie jeździli. Oni przeszli 2 tysiące kilometrów. W blo- cie, deszczu, śniegu. Nie dojadają, śpią w polu lub w stodolach...

Zażenowanie udzieliło się i mnie, tym bardziej zre- zszą, że do dziś nie potra- fię nawet porządnie za- stać żołnierskiego łóżka...

RYSZARD BINKOWSKI

**Z**aden proboszcz nie zapisał się tak we wdzięcznej pamięci swych parafian, jak pleban z Dąbrowie. Ale nie płomienie kazania, napalniające spokojne serca dobroduszych chłopów, ani nie pobożność zyskały mu nieśmiertelną sławę w Dąbrowicach i okolicy, a nawet w Tarnowie. Przyczyna popularności była jego zielona wódka, o której twierdził, niekiedy z zapalem, że jest to krew jego ciała, ekstrakt jego myśli, dziecie jego rozumu.

Niemniej poetycznie brzmiała nazwa jego produktu: „Wódka lasów, wódka jagodowa”. Twierdził on, że nadał jej to nazwę ongiś przed laty, kiedy wydestylował po długich badaniach pierwszą szklankę, a zielony likier owionął go zapachem wszystkich lasów wokół Dąbrowie, wonią wiosny i lata, to znaczy wonią kwiatów i jednocześnie smakiem dojrzalszych jagód.

Nikt nie znał tajemnicy produkcji znakomitego napitku wyrabianego przez księdza proboszcza. Wiedzano tylko, że głównym składnikiem są wielkie czerwone jagody, które własnoręcznie zbierał po lasach. W swoich modlitwach dodawał zawsze jakiś ojczenasz na intencje, aby rozdziło się wiele czerwonych jagód, które zbierał w ogromny koszyk w pewnych sobie tylko znanych miejscach.

Przez cały sierpień do późnej nocy błyskało światło w oknach plebanii, szczerzając się starości plebani, przez otwarte okna dolatywała miła won, a gdy wiejskie wyrostki wspięły się na drzewa w plebańskim ogrodzie, widziały, jak długie, białe włosy proboszcza powiewają nad osoblizami, podobnymi do węzłów aparatów, jak drżąca ręka ujmując na pierwszy kieliszek gotowego produktu, żegna się pobożnie, jak go powoli wychyla, młaskając i strzelając z ukontentowania palcami, aż stary kocur drżymy spokojnie na obszernym piecu zerwał się, jakby mu kłosa nad głową zapalił wiecheć słomy, po czym wypadł miącząc z pokoju.

W owej chwili ksiądz proboszcz wydawał im się istotą nadziemską, cudowną, i przejęty nabożnym szacunkiem zlązli chłopcy z plebańskich grusz i jabłoni, nie zapomniawszy napelnąć sobie kieszeni owocami.

Działo się to w sierpniu. Listopad upływał na napelnianiu wielkiej ilości butelek i nalepianiu etykiet, które kierownik dąbrowickiej szkoły wyrysował i wymalował w ciągu zimy. Etykiety przedstawiały w sposób nieco fantastyczny świętego Stanisława, jak błogosławił małego aniołka, który niesie pożądaną fłaszczkę ze złotym napisem: „Wódka lasów, wódka jagodowa”.

**K**iedy spadł pierwszy śnieg i nocą słychać było w pobliżu wsi wycie wilków, ksiądz proboszcz oznajmiał pewnej niedzieli lagodnym i wrzuszonym głosem, że zaprasza wszystkich wiernych na plebanie, na popału-

dnowe ćwiczenia duchowe. W taką niedzielę przestronna izba na plebani była pełna, chłopcy tłoczyli się jak na odpuszcie. Ksiądz proboszcz siadał w starym, wyblakłym fotelu, pamiętającym Bóg wie, ilu poprzedników, i mówił życzliwym głosem, uśmiechając się ciągle, że nadeszła zima, a z nią adwent, żeby pamiętać więc i teraz mimo mrozu chadzać do kościoła oraz udzielać wsparcia ubogim. Dorzucał do tego jeszcze kilka słów o zbliżających się świętach, po czym wymykał się z pokoju. Po chwili wracał z koszykiem butelek i przystępował do rozdawania parafianom swojej zielonej wódki, pędzonej z jagód leśnych.

W tym momencie wielu miało łzy w oczach patrząc na jego bielutką głowę i drogą twarz, jak mu się broda trzęsie z radości, kiedy rozdziaje im swój produkt. Wielu wilgotniały oczy na myśli, co to będzie,

kiedy w pobliżu plebanii wyły wilki i czasami grzmiały strzały, odpędzające głodne bestie. Kiedy szedł później spać, kręciło mu się trochę w głowie i podśpiewywał sobie piosenkę o leśnych rusalkach i zielonej wódce, aż jego starszaka-siostra zatykała sobie ze zgorzaniem uszy.

Nazajutrz wstawał późno i jęczał, że już nigdy nie spojrzy nawet na ów piekielny napój. Lecz daremnie były jego zaklęcia. Z nadejściem wieczoru, gdy śnieg iskrzył się w poświęcając księżycu, znowu ogarniała proboszcza tęsknota za latem i znowu wychylał szklankę po szklance. Jego siostra modliła się szczególnie przez wiele lat, aby Bóg ocalił jej brata przed piekielnymi widziadłami, lecz każdej zimy powtarzały się owe wieczory, w czasie których

nasłuchiwało ze zbożnym szacunkiem i otwartymi ustami pod oknem plebańskiej sypialni, jak na górze ich stary duszpasterz wyśpiewuje przedziwne dumki o zielonej wódce i leśnych boginkach. Od tego dnia występy wokalne zaczęły się powtarzać i chłopcy chodzili co wieczór posłuchać pień księdza proboszcza.

Dla jego siostry nastaly smutne czasy. Wszędzie widziała ogień piekielny i zebrałszy raz na odwagę napisała drżąca ręką list do wikariusza generalnego w Tarnowie, prosząc go, aby dla zbawienia duszy proboszcza w Dąbrowicach przyjechał na wizytację i przemówił w ojcowskich słowach do jej brata, i w ten sposób uwolnił go ze szponów szatańskich.

Minęło kilka dni.

Augustyna i innych Ojców Kościoła. Wówczas diabeł na pewno nas nie skusi. Przywożem księdzu kilka książek o życiu wiecznym, piękne rozważania świętego Augustyna. Najlepiej czyta się wieczór, dwie, trzy godziny. Zaraz przyniosę te książki.

Kiedy zniknął w drzwiach, ksiądz proboszcz wstał, skoczył ku flaszcze i napił się łyk swego cudownego nektaru. W momencie, gdy czelgodny wikariusz wrócił ze stołem książek, proboszcz już siedział spokojnie na swoim miejscu i nabożnie spoglądał w sufit.

— Oto lektura, która unosi w lny świat i odpęda wszystkie złe myśli — rzekł wikariusz, kładąc książki przed proboszczem i dodając po chwili: — ślicznie tu coś pachnie, zupełnie jak gdyby las.

— To moja „wódka lasów, wódka jagodowa” — zawołał uradowany proboszcz i nie czekając na odpowiedź napelniał dwie szklanki zielonym napojem i tracił się ze zdumionym wikariuszem.

Wychylił szklanki.

— Doskonale, nieprawdaż? — zapytał rozpromieniony proboszcz widząc że wikariusz pomlaskuje. — Jeszcze jedną, co?

I znowu opróżnił szklanki.

— Cudowna, człowiekowi się zdaje, że wędruje latem po lesie i wdycha jego aromat — westchnął tęsknie wikariusz.

Proboszczowi błysnęła myśl, kiedy opowiadał o swoim produkcji, o dziecięciu swego rozumu i ekstrakcie swych myśli. Przy tym stałe kosztowali zielonego napoju, a dostojny wizytator, zanim wychylił nową szklankę, za każdym razem szeptał: „Multum nocet, multum nocet”, zapomniawszy zupełnie o celu swej wizyty, o diablu, świętym Augustynie i Ojcach Kościoła.

Kiedy, jak już weszło w zwyczaj, wieczorem chłopcy zebrałi się przed budynkiem plebanii, usłyszeli ku swemu zdumieniu, że z sypialni proboszcza dołatała dźwięki pieśni o leśnych rusalkach i zielonej wódce, ale śpiewały ją dwa, a nie jeden głos. Ów drugi, nieznanego głosu był o wiele donośniejszy...

**D**yskretnie milcząc, co było dalej. Dodam tylko, że była to pierwsza, ale na pewno nie ostatnia wizytacja, i że kiedy czelgodny wikariusz generalny wróciłszy trzeciego dnia do domu wyciągnął wielką butelkę „wódki lasów, wódki jagodowej” stwierdził ku swemu zdumieniu, że na opakowaniu użyto kilku kartek z pism świętego Augustyna i innych Ojców Kościoła.

„Wódka lasów, wódka jagodowa” zapewniła dąbrowickiemu proboszczowi nieśmiertelną sławę.

Z czeskiego tłumaczył

STEFAN DĘBSKI

JAROSŁAW HASZEK

## WÓDKA LASÓW, WÓDKA JAGODOWA

(Szkiec z Galicji)

gdy stary proboszcz ułożył się do wiecznego snu pod brzozami i modrzewiami na dąbrowickim cmentarzu.

Tak zaczynała się w Dąbrowicach zima, której ksiądz proboszcz zawsze się obawiał; ona to była przyczyna, że przez całą wiosnę i lato modlił się, aby mu Bóg odpuszcł grzechy, które popełnił poprzedniej zimy i których dopuścił się w przyszłości.

Jakież to były grzechy zimowe proboszcza? Tym grzechem była jego miłość do zielonej wódki.

**W** zimowe wieczory tęsknił za zielonymi lasami, po których tak lubił chodzić, i żeby jakoś przypomnieć sobie pachnące lato, zasiadał w ciepłym ogromnym piecu przed wielką baterią butelek swojego produktu. Stojąc obok szklanka napelniała się od czasu do czasu ślicznym zielonym napitkiem i po chwili znów stała pusta.

Kiedy pierwsze krople napoju zwilżyły wargi księdza proboszcza, przed jego oczami jawiła się soczysta zielen dębów, świerków i brzoź oraz wyrzwały się zakątki czerwieniąjące dojrzalszymi wielkimi jagodami. Przygotowany brewiarz leżał zamknięty, a zamiast wieczornej modlitwy rozbrzmiewały w cichym pokoju dźwięki dzwoni, wydawane w chwilach, gdy ksiądz siorbał ze smakoszeństwem zielony, perlisty napój.

Stary proboszcz siedział, pil i rozmyślał o zieleni lasów, o wiosnie i lecie; nie przeszkadzało mu nawet,

brewiarz leżał nietknięty, a butelki się opróżniały. Daremnie były wszelkie pielgrzymki do Kalwarii, a nawet do Częstochowy, daremnie zakupywała tam msze święte na intencje swego nieszczęsnego brata. Na myśl o tym gorzko czasem płakała.

**P**ewnej zimy diabeł, jak mówiła, z powodzeniem wystawił księdza proboszcza na pokuszenie. Tego wieczoru ksiądz śpiewał o leśnych boginkach tak donośnie, że Jurzik Owieczna, strażnik gminny, powracający późno z karczmy, zatrzymał się przed plebanią i po chwili wśród nonej ciszy rozbrzmiewał duet. Jeden głos, weale donośny, lecz stłumiony przez grube szyby w oknie, należał do księdza proboszcza, drugi zaś, bardziej chryply, do strażnika gminnego; przypominał chyba wycie wilków, bo niezadługo kilku chłopów ze strzelbami i kłonicami zebrało się przed plebanie, ale tam czekało ich zaskoczenie; w zdumieniu słuchali śpiewu swego plebana o leśnych rusalkach i zielonej wódce, melodii tak nabożnie nie nucił, jak gdyby w kościele wysławiano litanię do Matki Boskiej.

Kiedy nazajutrz koło południa ksiądz proboszcz wstał z łóżka, dowiedział się od zaplakanej siostry o wielkim zgorzzeniu, jakie wywołał poprzedniego wieczoru podczas diabelskiego pokuszenia. Zaklinał się znowu, ale wieczorem powtórzyło się wszystko i pół wsi

**W** śliczny zimowy dzień zadzwonił przed plebanie sąnki, zadudniła zamaryniami ziemia pod kopułami czterech pięknych koni, aż iskry poszły wokół, a z sanek wysiadł czelgodny wikariusz generalny z Tarnowa, oświadczył zdziwionemu proboszczowi, że przyjechał na wizytację.

W myślach proboszcza wynurzyła się błyskawicznie obawa, że w Tarnowie dowiedzieli się chyba o jego śpiewackich wyczynach, tak że nie odważył się spojrzeć w oczy srebrnowłosego, ale o wiele lat młodszego od siebie wikariusza, który, przeciwnie, z wielkim szacunkiem rozmawiał z o wiele lat starszym, siwiutkim jak gołąb proboszczem. Dostojny gość wyraził głębokie zadowolenie ze stanu kościoła i po kolacji usiadł naprzeciw księdza proboszcza, szukając okazji, aby w jakiś sposób spełnić życzenie jego siostry, która w sąsiednim pokoju modliła się żarliwie.

— Tutejsza okolica jest śliczna w lecie, nieprawdaż? — zaczął po długim milczeniu.

— O, bardzo piękna — odparł ze smutkiem proboszcz, zerkając w kąt, gdzie stała wielka butelka z pobożną etykietą.

— Pefno tu lasów, w lecie pewnie jest — przyjemnie — ciągnął wikariusz — ale w zimie musi być smutno. Wtedy najlepiej siedzieć koło pieca i modlić się za brewiarza. Można też czytać pisma świętego

M  
A  
L  
A



## WIELKA KARIERA

Największy walor tej książki dla młodzieży (Edward Kopczyński, „Młokos”, Wyd. Łódzkie, 1973 r.) upatruję w zaproponowanym w niej „modelu kariery”. Utało się tak jakoś, że karierę zaczyna się na wyższej uczelni, punktem wyjścia do sukcesu życiowego jest dyplom wyższej uczelni, a szczęście w życiu niemal zależy od tych dwóch czynników startu.

Nie mam zamiaru w dobre powszechnego, słusznego i potrzebnego pedu do zdobywania wiedzy, jak najwyższych kwalifikacji zawodowych, obniżyć wartości uniwersyteckiego, czy politechnicznego wykształcenia. Ale — jeśli już kariera — to inżynier, lekarz, wysokie stanowisko w administracji i zarządzaniu gospodarką narodową. Ilość jednak wyższych stanowisk w każdym społeczeństwie jest ograniczona, nie każdy może, lub chce być inżynierem. Nie każdemu udaje się zostać lekarzem.

Czym zatem jest, może być kariera dla całej, ogromnej przeciwieź rzeszy obywateli, zwłaszcza młodych? Jak rozumieć sukces, do którego zmierza każdy człowiek? Próbuje odpowiedzieć nam na te pytania Edward Kopczyński.

W książce zawarta jest oczywista — aczkolwiek czasem umykająca nam w dyskusyjnym zagadnieniu kariery — prawda, że sukces życiowy zależy przede wszystkim od pracy, która się lubi. Szczęście bywa kapryśne i często „małe szczęście” jest większe od „wielkiego szczęścia”. Ie też ludzkich charakterów, odrębności zamiłowań, skrytych marzeń o własnym życiu, tyle karier i sukcesów.

Bohater książki Kopczyńskiego zostaje leśniczym, wcześniej, bo w 24 roku życia obejmuje samodzielnie leśnictwo. Autor książki potrafił wydobyc z tego zawodu jego piękno i odpowiedzialność. Bliskość związku człowieka z przyrodą, jaki ten wybór przynosi, poczucie swobody — jakiej ofiarowuje. W wysoko cywilizowanych społeczeństwach

Inność życia w sercu puszczy, jego atrakcyjność dzięki azylowi ciszy i spokoju, ma i będzie miała wzrastającą wartość. Te walory umiał Kopczyński pokazać swoim młodocianym czytelnikom.

O ochronie środowiska naturalnego człowieka pisze się i mówi wiele, powstają instytucje państwowe i społeczne, zajmujące się tym problemem. Pałącym, jak potwierdza praktyka życia i doświadczenia ostatnich lat. Nic jednak nie zrobi na tym odcinku lepszej roboty, niż sztuka, niż dobry film i dobra książka.

Przeżyć przyrodę, jeżeli człowiek nie potrafi dokonać tego sam, można tylko przy pomocy mądrego, rozumiejącego i czującego naturę, doradcy. Autor „Młokosa” wykazuje gruntowną znajomość pracy leśnika, tajników myślenia i wędkarstwa. Wychodzi to książce na solenną korzyść.

Są w tej powieści dwa wątki zasługujące na uwagę, konflikt ojciec — syn i dramatyczne zawężenie leśniczy — kłusownik. Kopczyński ustawiła obydwie te nurty swej książki, jako konfrontację ludzkich postaw. Jest to trafne ujęcie literackich pomysłów; zwłaszcza w książce dla młodzieży. Przeciwstawiając sobie „negatywnych” i „pozytywnych” bohaterów nie popada nigdzie w uproszczenia, nie żęguje na mielziny psychologicznych i zwykłych, życiowych ułatwień. Autor „Młokosa” wykazuje tu znajomość młodego czytelnika, który ostro sądzi łatwizny. Dramatyczne starcie leśniczy — kłusownik jest poprowadzone dobrze i literacko zamknięte. Może wątek ojciec — syn trochę „puszczone”, ale rozbudowanie go musiaoby zwiększyć objętość powieści, ryzykując rozpadzeniem konstrukcji książki.

Jakąż ulgę i niespodziankę sprawia autor „Młokosa”, gdy nie prowadzi swego kłusownika za kark do aresztu, ale próbuje go sam zwyciężyć w walce nie tylko na dubelówki, ale na charaktery. Jakąż ulgę sprawia, gdy nie ustępuje ani na jotę wobec ojca ze swej postawy życiowej, nie skazuje go za błędy na „dożywotni sąd”.

Książka ma jedną, poważną wadę, zbyt długi i „szkolny” wstęp do właściwej akcji. Można by lekko zrezygnować z pierwszych 30 stron. Sprowadzić je niemal do kilku zdań. Można w niej znaleźć także inne, „szkolne” partie, zwłaszcza w opisach. (np. wystąpienie Grzegorza — leśniczego w szkole.) Innym jej mankamentem jest „przedbrzenie” rozmaitych inicjatyw Grzegorza jako leśnika i po prostu, jako młodego człowieka. Nie tylko zresztą jego, ale wielu bohaterów tej książki. Jeszcze tak dobrze nie jest na świecie, żeby się ludziom wszystko i zawsze udawało, „wszystko wyszło na medal” i na piątke. Starym i młodym.

No cóż, młodzież lubi „happy-endy”.

BARBARA NAWROCKA

# Egzaminy skończone — problem pozostał

Dalszy ciąg ze str. 3

przedmiotami cyklu humanistycznego.

Na maturze pytania z gramatyki polskiej są traktowane jako złośliwość, egzaminator z języka polskiego w komisji rekrutacyjnej w każdym niemal zestawie umieściła właśnie pytanie z gramatyki.

Stosunkowo niedawno w prasie centralnej i czasopiśmie społeczno-kulturalnych padło wiele słów krytycznych pod adresem pracy nauczycieli, a zbyt mało stawiano zarzutów szkole jako instytucji oświatowej. Praca nauczyciela w znacznej mierze jest podporządkowana potrzebom statystyki szkolnej. Nie może być w klasie zbyt dużo stopni niedostatecznych, trzeba stosować wszelkiego rodzaju ułatwienia przy maturze, trzeba walczyć o pozycję pierwszej szkoły w skali powiatu i województwa. Merytoryczne przesłanki stają się drugorzędne, główne to dane statystyczne.

Te założenia nie stanowią tajemnicy dla tej grupy uczniów, których idealnym jest „ślizganie się”. Nie patrzą oni zbyt daleko w przyszłość. Wyznają zasadę: udało się w szkole, uda się i na uniwersytecie. Zwykle przy egzaminie wstępnym nastę-

puje bolesna konfrontacja szkolnej rzeczywistości z daniami całkowicie nieznanymi egzaminatorów.

Nowy program szkolny preferuje matematykę. W myśl założeń, każdy maturzysta miał być uzbrojony w dostateczny zapas wiedzy do podjęcia studiów na politechnikach. W praktyce matematyka okazała się pięcią achillesową egzaminów wstępnych.

Autorzy programu przeliczyli się, jeśli chodzi o możliwości uczniów i nauczycieli. Matematyka wymaga systematycznej pracy i pilności ze strony ucznia. Matematyka trzeba zaciekać klasę, pokazać w jaki sposób i poprzez jakiego rodzaju pośrednie zjawiska zmienia ona świat współczesny. Szkoły nie dają sobie rady ze zhumanizowaniem matematyki, programy zaś okazały się zbyt trudne dla przeciętnego ucznia. Wyniki możemy obserwować przy egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie.

Takich wątpliwości, niestety, w artykule publicystycznym na temat: matura a egzamin wstępny jest wiele. Zasygnalizowałem tu tylko niektóre. Podtrzymuję twierdzenie, że między wymaganiami stawianymi kandydatowi na studia wyższe na maturze, a na egzaminie wstępnym istnieją duże rozbieżności. Egzamin wstępny nie jest

po prostu powtórzeniem matury, ale sprawdzianem w jaki sposób kandydat zdjął zapamiętać fakty i faktyki wchodzące w skład programu liceum ogólnokształcącego.

Praktyka szkół wyższych wykazuje, że bardzo często prymusi egzaminów wstępnych stają się przeciętnymi studentami, natomiast „średniacy”, zwłaszcza na końcowych latach studiów prezentują wysoki poziom wiedzy i inteligencji.

Na kierunkach technicznych egzamin z matematyki i fizyki jest konieczny, gdyż przedmioty wykładane na politechnikach wymagają opanowania wiedzy szkolnej. Natomiast mam wątpliwości czy np. kandydat na historię musi legitymować się pamięciowym opanowaniem programu geografii.

O przydatności do studiowania nauk humanistycznych i społecznych decydują przede wszystkim predyspozycje psychiczne i walory charakteru. Dlatego wydaje mi się, że na wszystkie wymienione kierunki kandydat powinien przejść przez próbę testów, rozmowę z członkiem komisji rekrutacyjnej i egzamin z języka obcego. Nie można być humanistą nie znając chociażby w skromnym zakresie języka obcego.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI



# ODGŁOSY

MAGAZYN WAKACYJNY

Nr 3

## NA PARYSKIEJ ULICY

(Korespondencja własna)

W czym chodzą latem paryżanki? Oczywiście w drewniakach na grubym spodzie. Drewniakki są nadal krzykiem mody, przy czym grubość najgrubszej „platformy” wynosi około 7 cm. Mimo protestów lekarzy, któ-

rzy straszą kobiety już nie tylko polamaniem nóg i zmianami w kręgosłupie, ale i szpetną sylwetką — podczas chodzenia kolano „leci” do przodu — Francuzki nie mają zamiaru zrezygnować z modnego obuwia. Nie

odstraszają ich nawet ceny, choć im grubsza „platforma”, tym wyższa cena.

Do drewniaków nosi się w zasadzie wszystko. Również maksymalne mini, ale — Uwaga! — w króciutkich spódniczkach biegają tylko dziewczęta do lat co najwyżej 15, lub przedstawicielki najstarszego zawodu świata. Panie w późniejszym wieku preferują przede wszystkim spódnice. Góra bardzo obfita, dół bardzo szeroki, zawsze z kantem, zakrywający buty.

Nowością, jaką widzi się ostatnio w eleganckich dzielnicach Paryża, są znów długie suknie z dużymi dekolami i z koronkami. Szyte z tkaniny w pasy, biegnące ukosem. Przypominają trochę suknie z ubiegłego wieku, a trochę kostiumy teatralne.

Nie udało mi się jednak ustalić, czy właścicielkami dżinsów ryzykownych dekolów, sięgających z przodu lub z tyłu aż talii, są cudziemki, lecznie zawsze przebywające w Paryżu, czy też Francuzki. Opinie na ten temat są wyraźnie podzielone. Większość indagowanych przemawiała za cudziemkami. Jedno natomiast udało mi się ustalić, niezłomie — dekolty muszą być estetyczne. Żadna z pan nie pozwoliła sobie prezentować tłustych pleców lub obwisłego biustu. Te chowa się skrzętnie.

I wreszcie dżinsy. Zawsze modne i zawsze wygodne. Dla młodzieży do 50 lat, a często nawet i później. Najdroższe dżinsy zakłada się na siebie dokładnie pozabawione wszelkich pozorów nowości, przybrane różnego rodzaju plakietkami i obrączkami. Noszą je zarówno panie, jak i panowie.

Dla panów nadal modne są długie włosy. Jednak w odróżnieniu od długowłosych Polaków, Francuzi mają włosy zawsze czyste, lśniące i dobrze przystryżone przez fryzjera. Okazuje się, że noszenie długich włosów wca-

le nie zwalnia z obowiązku odwiedzania fryzjerskiej ratury. A jeśli ktoś chce wyglądać niechlujnie, to zawsze będzie to niechlujstwo „robione”, pozorowane. A więc czyste i powiedziałabym nawet z pozorami — to może zabrzmieć paradoksalnie — niechlujnej elegancji. Ten akcent paryskiej mody warto byłoby przyswoić, tym bardziej, że autentyczne niechlujstwo zawsze latem... śmierdzi.

FELICJA GRABEK

### POCZTA „MAGAZYNU”

## PRANIE NA SUCHO

Panie Redaktorze!

Jako przedstawiciel Pańskiego pisma powinienem dbać o schludny wygląd, przeto postanowiłem „oczyszczyć” się kompleksowo. W tym celu wydelegowałem żonę do pralni chemicznej „Gosia” w Pabianicach, aby oddała do czyszczenia cztery moje marynarki. Żona spełniła moją prośbę, zapłaciła 120 zł „z hakiem” i zostawiła marynarki, które pani przyjmująca zamówienie wyceniła na 2 tys. zł.

Kiedy w wyznaczonym terminie, tj. w sobotę, 7 lipca 1973 r. żona zgłosiła się po odbiór garderoby, gotowe były dwie marynarki. Jedna miała niedoczyszczony kołnierz, druga natomiast nie nadawała się do użytku, gdyż wystąpiły na niej dziwne plamy, których nikt dotąd nie zauważył. Między innymi na plecach usytuował się zaciek przypominający rozlaną kawę albo coś gorszego. Prześięgam jednak, że nigdy nie tażylaem się w kawie ani żadnych fekalich.

Na pytanie żony, co należy sądzić o tak wykonanej usłu-

dze, pani z „Gosia” zrobiła zdziwioną minę i stwierdziła, że nie wie, co o tym sądzić.

— Może te plamy już były — powiedziała — i pojawiły się dopiero w czasie czyszczenia.

— Ale z przodu na pewno plam nie było!

Pani wzięła marynarkę i zaniosła ją na zaplecze. Po chwili wróciła i oznajmiła, że nie było to pranie na mokro, a na sucho nie da rady wyczyścić dokładnie. Poza tym dodała, że marynarka nie jest już taka nowa, więc wszystko jest możliwe.

— Dotąd jednak nadawała się do użytku — powiedziała żona.

— Była też w pralni chemicznej w Łodzi i plamy się nie „ujawniały”.

— Ja doprawdy nie wiem, co z tym fantem zrobić — rozłożyła bezradnie ręce pani z „Gosia”.

— U nich to zawsze tak — posypały się uwagi klientów — do kierownika iść i załatwić!

Marynarki nie chcieli przyjąć, przeto żona wróciła do domu, a w poniedziałek zgłosiła się po kolejne marynarki. Te były porządnie wyczyszczone.

— A co powiedział maż o tym tej marynarce — spytała z głupia frant pani z „Gosia”.

— Maż prosił o nazwisko osoby, która ją czyściła.

— Oj, to ładnie tak od razu obmalowywać pralnie?

Żona była zdenerwowana, więc wypaplała, że jestem dziennikarzem i nawet tak drobne sprawy bardzo mnie interesują. Ponadto dodała, że jesteśmy podwójnie stradni, gdyż zapłaciłmy z góry, i to za zniszczenie marynarki. Wtedy pani z „Gosia” powiedziała, że by marynarkę przynieść jeszcze raz, ale zakryczał ją jeden klient, który wywoził, że za granicę wysłaliby się za takie branie opłaty z góry.

Nie wiem, jak jest za granicą, twierdzą natomiast, że zniszczono mi marynarkę. Nie się już nie da „poprawić”, więc marynarki nie zaniosłem. Czekam, kiedy pralnia „Gosia” w Pabianicach wystąpi pierwsza, zwróci mi kosztą opłaty za czyszczenie oraz równowartość bezużytecznej marynarki. Ja nie zrobię pierwszego kroku. To „Gosia” świadczy usługę dla ludności i w jej interesie powinno leżeć dobro klienta.

RYSZARD BINKOWSKI



LEW KORSUNSKIJ

### ŻONA

— Co dziś na obiad? —

— Zapytałem żonę.

— 300 kalorii — odpowiedziała — Pierwsze da-

nie — 200 kalorii, drugie

— 300 i trzecie — 300.

— A nie można by tak

na trzecie 500 kalorii?

— Wykluczone.

Pokornie zjadłem swoje

kalorie i położyłem się.

— Wstawaj! — zakomenderowała żona. — Marsz

na spacer! Może zgubisz z

200-300 kalorii.

Zwlokłem się i zacząłem

wkładać płaszcz.

— I po co ja to zrobi-

łam? — jęknęła nagle żona.

— Co mianowicie?

— Zjadłam to ciastko na

deser? Nie wytrzymałam.

Co teraz będzie? Przecież

to całe 20 gramów tłuszczu,

15 gramów białka i

10 gramów węglowodanów

Bede ważyć 65 kilo-

gramów i 40 gramów!

„W takim razie muszę

poszukać kogoś lżejszego”

— pomyślałem i wyszed-

dłem z domu.



## LITERACKI SZLAK

Różnego rodzaju szlaki turystyczne mają swoje specjalne oznaczenia. Najczęściej symbolizowane są one kolorową (niebieską, czerwoną, zieloną)... linią na białym prostokącie. Spotykamy te znaki w górach i nad morzem.

Nie ma jednak szlaku... literackiego. Niech więc ten szkic będzie namiastką i propozycją takiej trasy.

Zacznijmy od pobliskiego Sulejowa. Jest to rodzinne miasteczko Lucjana Rudnickiego, położone na krańcach łódzkiego okręgu włókienniczego. Mało kto wiedział o tym mieście zanim je Rudnicki nie rozstał w swojej epopei „Stare i nowe”. Odtąd Sulejów znany jest jako scenariusz jednego z najświetniejszych i najoryginalniejszych pamfletników w literaturze polskiej.

Niedaleko stąd — Inowłódz. Tu przyjeżdżał na wakacje młody Julian Tuwim i on to właśnie uwiecznił Inowłódz w „Kwiatkach polskich”.

Następny „skok” literackim szlakiem jest nieco większy. Łądzkiemu w Ursynowie koło Warszawy — a właściwie dziś w obrębie Wielkiej Warszawy. To tutaj w roku 1882 Julian Ursyn Niemcewicz osiadł po swym burzliwym życiu. Tu w przeddzień wybuchu powstania listopadowego odwiedził go Juliusz Słowacki i w swoich listach do matki pozostawił opis „ślicznego starego Ursynowa”.

Również niedaleko Warszawy między Wołominem a Kobylką stoi legendarny „Dom nad Łykami”. Tu spędziła dzieciństwo i młodość Zofia Natkowska — tu powstały jej pierwsze utwory literackie i ten właśnie krajob-

raz występuje często w jej utworach.

Następny etap podróży to już cała wyprawa na południe. Obiegając w woj. kieleckim — dziś muzeum — pamiętek Henryka Sienkiewicza — znany jest i wielokrotnie opisywany. Oj piękny dworek z tzw. resztówką — to chyba jedyny w swoim rodzaju prezent jaki społeczeństwo kieleckie oddało z publicznych składek ofiarowato pisarzowi.

Zbacając z drogi ruszamy do Naleczowa, gdzie znajduje się muzeum Stefana Żeromskiego. Słynna chata w Naleczowie — dom w stylu zakopiańskim wybudowany został w latach 1905-1906 — i tu właśnie Żeromski zamierzał się osiedlić. Niestety, los potoczył się inaczej — nie mieszkał tu długo.

I wreszcie prosto do Zakopanego — do najbardziej znanego pisarskiego domu. Harenda — przysiółek nad Dunajcem blisko Zakopanego — odkąd jednak zamieszkał tu w roku 1923 Jan Kasprzowicz Harenda znaczy ten właśnie dom. Kasprzowicz nie otrzymał tego domu w darze. Kupił mu go — jak mawiał — pewien Anglik nazwiskiem Szekspir. Pieniądze na Harendę zebrał bowiem Kasprzowicz z honorariów za przekłady dzieł Szekspira.



NASZA RADA: — Co robić w letnie wieczory? — Oglądać telewizję! Tylko oglądać telewizję!

## DONKA RAINOWA Noc tysięczna i druga

Przez tysiąc i jedną noc opowiadała Szecherezada bajki swemu władcy. Chciała przeżyć. Nadeszła noc tysiąca drugą. On znów prosi:

— Opowiedz jeszcze jedną bajkę! Prędzej zacznie się świt...  
— Co, świt? — zerwała się Szecherezada. — Wiedz, że zdążyliśmy się już pobrać, mój drogi, o co! Jesteś władcą. Nie masz nie do roboty. A ja muszę pędzić na pierwszą zmianę. Gaś światło!

## POWIEKSZENIA

ANEKDOTA NA CZTERY... LITERY

Mgr Z. Wójcikiewicz publikuje w „Głosie Robotniczym” różne smaczne anegdotki. Ostatnio nie wiedział czemu, zrobił nieśmiało z profesora Karłowicza, twórcy „Słownika warszawskiego”. Wz mgr Z. Wójcikiewicza profesor wołał, „należy wymawiać wyraźnie litery „e”.

Otóż nie należy. Litery się pisze — wymawia się głośno. Profesor Karłowicz musiał o tym wiedzieć.

I jeszcze jedno. We wspomnianej anegdotce profesor wołał: „Nie w dupę panie, nie w dupę. Czuje się w d... przez „e”, wyraźnie”.

Zagadkę — dlaczego słowo „dupa” dwa razy gazeta wydrukowała w pełnym brzmieniu, a trzeci raz wykropkowała — możemy wydłumać tylko w ten sposób, że „Głos” ma limit na dwie dupy w numerze.

OSIEDLA MIĘDZY ŁÓDZIĄ A HALLE

„Express Ilustrowany” informuje, że zaproponowano „stałą wymianę doświadczeń z zakresu ochrony środowiska i budowę nowych osiedli między Łodzią a Halle”.

Między Łodzią a Halle jest dobre kilkadziesiąt kilometrów. Budowa nowych osiedli między tymi miastami to budowa drugiej Polski. Nareszcie mamy pełną jasność co do lokalizacji.

JĘZYK NIE-SPECJALISTY

Podziwiając talenta specjalisty ekonomicznego, TV-Łódź, nie możemy się oprzeć wrażeniu, iż nie jest specjalistą od jasnego i poprawnego wyrażania słusznych myśli.

Niektóre perełki, „przeznaczenie tych kwó!” (chodziło po prostu o pieniądzel), „równaś zarówno...” (nie wiadomo dokładnie o co tu chodzi), „obiekty miały być rozpoczęte lecz zostały przesunięte...” (nie chodzi o przesuwanie domów, lecz że się czegoś nie zbuduje).

I tak dalej, i tak dalej. Firmary stylistyka telewizyjno-ekonomiczna. Sytuacja — jak mówi red. Walczyński — toczy się nadal.

Każdy, kto choć o kilogram przekroczył normę wagi, myśli o tym, jak schudnąć. Najczęściej tylko... myśli. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież w normalnym dniu pracy, wypełnionym

lorii, świeża słonina — 813, a tran — 902. No, ale tranu i tak nikt obecnie nie pije. Wreszcie ostatnia grupa produktów — mięso. Oczywiście najbardziej kaloryczna jest tłusta wieprzowina — 538 kalorii. Najmniej nato-

## Kalorie na lato

dziesiątkami spraw, nikt nie ma czasu, aby realizować mądre rady przeróżnych „cudownych diet”.

Dopiero urlop i ta błogosławiona bezczynność otwiera przed nami możliwości dietetyczne. A więc do dzieła.

Nie prezentujemy tu żadnej „diety-cud”, po prostu dlatego, że takie genialne recepty nie istnieją. Pragniemy tylko podać parę „kalorycznych” informacji. W sam raz na lato.

Spośród świeżych warzyw najbardziej kaloryczny jest czosnek — 123 kalorie w 100 gramach. Najmniej natomiast egzotyczne kabaczki (13) i rodzima sałata (15). Sto gram ziemniaków ma 87 kalorii, groszek zielony — 80, kalfior — 25, pomidory — 20.

M mało kaloryczne są także świeże jagody i owoce. Najwięcej kalorii zawiera 100 gram bananów — 94, najmniej arbuza, bo tylko 25. Jabłka mają 58 kalorii, śliwki — 64, winogrona — 67, czarne porzeczki — 74.

Natomiast wysokokaloryczne są owoce suszone. Oto przykłady (cały czas bierzemy za podstawę 100 gram wagi): daktyle — 284, śliwki — 268, rodzynki — 268, figi — 270. Podobnie z grzybami. Na przykład świeże borowiki zawierają tylko 42 kalorie, suszone natomiast — 282. Pieczarki świeże — 32, suszone — 274.

Jeśli chodzi o pieczywo, to najmniej kaloryczny jest chleb żytni razowy — 212. Spośród ryb wędzonych najmniej kalorii zawiera dorsz (100). Następny „w kolejkę” pikling aż 211, a węgorz 330, makrela — 284.

miast chuda wołowina — 122. Flaki mają 88 kalorii, oźór cielecy — 111, nóżki cielece — 208.

Z tym zestawieniem każdy może już sam opracować według własnego gustu swoją dietę. Życzymy powodzenia, byleby chyba w tym kontekście niestosownie.



Jewsiej Krykowiec

## Niedokończone zdania

ARCHIMEDES powiedział: „Dajcie mi punkt oparcia — a przewrócę cały świat”.

Niestety, nie powiedział tylko, po co mu to.

DARWIN udowodnił, że człowiek pochodzi od małpy.

Lecz nie wyjaśnił, w jakim celu małpa to uczyniła.

SOKRATES powiedział: „Wiem, że nie wiem”.

Niestety, nie ujawnił w jaki sposób o tym się dowiedział.

NAPOLEON powiedział: „Od wielkości do śmiešności jest tylko krok”.

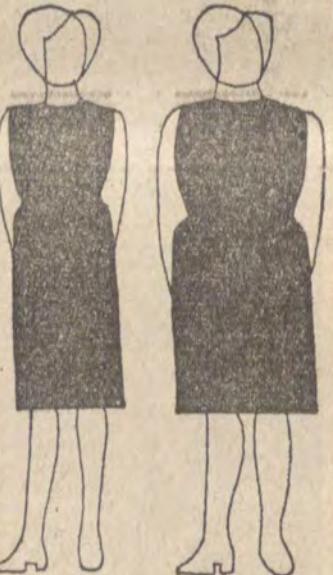
Lecz nie określił, ile jest kroków od śmiešności do wielkości.

TALLEYRAND powiedział: „Język jest po to, aby ukryć myśl”.

Alę nie wyjaśnił, co ma ją czynić głuchoniemi.

CYCERO powiedział: „Nigdy nie jestem tak bardzo zajęty, jak w czasie odpoczynku”.

Niestety, nie powiedział, co robić, aby być zajęty także w czasie pracy.



Z drobiu najmniej kaloryczny jest kurczak — tylko 102 kalorie. Kura ma już 120, kaczka — 153, a indyk — 180. Gęś natomiast bije rekordy kaloryczności — 480!

Spośród tłuszczów zwierzęcych smalec zawiera 897 ka-



## DZIADEK WALENTY I BIMBER

tego, rozglądając się na boki, chytkiem wybiegi znany powszechnie w okolicy z zamłownia do alkoholu dziadek Walenty, w kieszeniach spodni którego spoczywały dwie półlitrowki płynu o niekiedy przezroczystej strukturze. W tym jednak momencie z drugiego zagajnika wybiegła żona dziadka Walentego — Leokadia, która biegła w jego kierunku i wymachując zaczerwienionymi w piędzi rękami krzyczała głośno!

— Ty łachudro, znowu ci się bimbru zachciało. Nie dosyć, że wszystkie pieniądze przepijaś, to jeszcze bimber sąsiadom kradniesz. Ja ci pokażę...

Goniąca się para pobiegła w stronę wsi, a final ich kłótni nie jest już dla naszej historii istotny. Final tego zdarzenia istotnym stał się natomiast dla braci S.

Jasna bowiem sprawy kolejną stało się, że funkcjonariusze przetrwali przeszukiwanie zagrody i udali się do owego lasku gdzie pod mechem znaleziono wkopane w ziemię trzy schowki. Były to dwie kadzle o pojemności ok. 200 litrów i jeden szklany balon o pojemności 50 l. Obok w drewnianej skrzynce znaleziono kilka butelek wypełnionych bimbrzem. To stał właśnie — na nieszczęście braci S. — czerpał swoje zapasy dziadek Walenty.

Przeniesiono się także do sąglednego zagajnika, w którym uprzednio przycała się babcia Leokadia, a którego właścicielem był również Jan S. Tu wykopanych było osiem schowków, a w nich znaleziono 4 balony szklane, 4 duże słoje z bimbrzem, 8 skrzynek po drożdżach i alkoholomierz.

I tak to przez przypadek, a przy mimowolnej pomocy dziadka Walentego odkryto fabrykę bimbru należąca do braci S. W czasie rozprawy Stefan próbował całą winę za bimber wziąć na siebie, nie negując braterskiej współpracy przy włamaniu. W tej sytuacji Sad Powiatowy skazał Stefana S. na 8 lat więzienia i 30 tys. zł grzywny, zaś jego brata Marcina na 2 lata i 6 miesięcy więzienia oraz 30 tys. zł grzywny. Dziadek Walentego na rozprawie nie było. Podejrzewam, że w tym czasie tropił inne bimbrownie.

MIECZYSLAW  
STOLARSKI

## KOMIK-SEX! BAM MAGAZYN!! GRUNA ZALEŻNY OD ŻYCIA POD REDAKCJĄ ANDRZEJA

JESTEM WIĘC NA  
WZDASACH NAD  
MORZEM GĘŁBO-  
KIM...  
← PLUSK  
FAL  
← TUPOT  
MEW  
← SYRENI  
ŚPIEW



1. Widziałem  
jak się  
BĄTWAŃ  
(autentyk!)  
wytaniał  
z morza!  
2. NIEPOWTARZALNE  
ZJAWISKO —  
CHRONMY  
NASZE ŚRODO-  
WISKO!  
(BEZ BAŁWA-  
NOW NIE MA  
ŻYCIA.)  
3. BYŁEM JUŻ  
ŚWIADKIEM  
CUDU NATURY!



FATALNA NADMIERNY KROKOWY  
Poznałem  
leż frąqm  
entyl piwng  
Panie!  
Z KOLBERGIEM — TORFERA-NEMA SLADOM!

ŻYCIE JEDNAK JEST BRUTALNE!  
NIE ZNALAZŁEM  
PRZYCHYLNOŚCI  
W INNYCH OCZACH  
WIDZIAŁEM TEŻ AKT  
MESKI. FRAGMENT  
ZAPODAJE  
DALSZY CIĄG AKTU  
NASTĄPI.



# ABSOLWENT

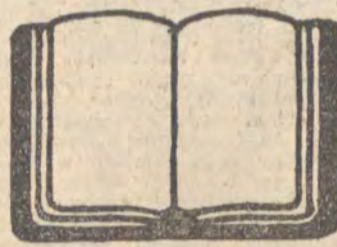
Młode kino amerykańskie jawi się z naszej perspektywy jako zjawisko niejednorodne. Z jednej bowiem strony fama krytyczna opisuje anarchiczne uroki kontestacji takich filmów jak: „Easy rider”, „Midnight cowboy” czy „Five easy pieces”, których w Polsce nie oglądamy; z drugiej zaś z tego, co oglądamy wyłania się obraz kina wrażliwego na społeczne konflikty („Medium cool”), tropiącego przemianę obyczajową i psychiki („Dziennik szalonej gospodyni”, „John i Mary”) i obrastającego już stereotypem buntu („Znikający punkt”). Dochodzi do tego wartość niezaprzeczalna: olśniewająca swoboda warsztatu. To właśnie młodzi realizatorzy amerykańscy (a nie Lelouch), którzy terminowali w telewizji pierwsi zademonstrowali nowy styl narracji, który dzisiaj obowiązuje.

Jakie jest miejsce w tej sytuacji filmu Mike'a Nicholasa „Absolwent”, który właśnie wchodzi na nasze ekrany? Nichols jest uważany za jednego z tych reżyserów, którzy pierwsi przejęli inicjatywę z rąk producentów. Po udanym debiucie (adaptacja „Kto się boi Virginii Woolf” Edwarda F. Albeego) „Absolwent” zdecydowanie ugruntował pozycję Nicholasa. Ten film zrealizowany w 1967 roku, mimo iż był jedną z pierwszych jaskółek całego nurtu, przyniósł — jak się po latach zdaje — syntetyczną zapowiedź problemów i pomysłów, które w tej chwili żywią i określają film amerykański. Jest jednak również znaczącym przykładem kina lawirującego między Scyllą indywidualizmu i ambicji a Charybdą businessu.

Nichols opowiada historię chłopca, który po ukończeniu college, popada w stan absolutnej obojętności wobec celów i wartości zaprojektowanych przez „american way of life”. Zamożni rodzice natrętnie popychają jedynaka ku świetlanej przyszłości, ale jemu dość nieoczekiwanie przestala odpowiadać ideaologia sukcesu. Pograża się w lenistwo, ucieka w samotną kontemplację. Film zapowiada się na wnikliwe studium psychologii kolejnego „buntownika bez powodu”. Tu jednak wątek kontestacyjny urywa się, bowiem Benjamin — chcąc nie chcąc — przenosi się w dojrzałe objęcia Ann Bancroft, która gra żonę współnika ojca. Siła problemowej ciężkości filmu przesuwają się na ograny dramat starzejącej się kobiety, skrachowanej alkoholik, która zachłannie pragnie ratować ostatnie blaski życia. Interesujący rozpoczęty film zeslizguje się w banalny melodramat, nad którym unosi się teatralny duch Tennessee Williamsa. Teraz już rzecz rozwija się (chwila mi nużać) zgodnie z prawami gatunku. Ożywiamy się nieco przy farsowym happy endzie, gdzie powracają komediowo przetworzone początkowe intencje filmu.

Tylko tyle? Niestety. I tego rozczarowania nie rekompensuje błyskotliwa, ale w końcu nudna uroda fotografii, kilkanaście pomyslowych chwytów montażowych i melodyjna muzyka beatowa w wykonaniu popularnego zespołu „Simon and Gurnfunkel”. Zbierając plusy trzeba odnotować kilka ironicznych obserwacji obyczajowych (scena przyjęcia), chwila mi cenny dystans satyryczny i bardzo dobrą robotę aktorską. Niewiele dobrego można tu napisać o skądinąd wybitnej Ann Bancroft, którą scenariusz i dialogi nie miłośnicznie wtłaczają w szatnię, natomiast tytułowa rola była swego czasu w tym właśnie obrazie odkryciem Dustina Hoffmana. Odtąd Hoffman stał się męską gwiazdą nr 1 nowego kina USA, kreując zakompleksionych outsiderów gra skupioną, dyskretną i pełną delikatnego wyrazu. Wydaje się jednak, że film Nicholasa pada u nas w dużej mierze ofiarą czasu. Spore opóźnienie, z jakim oceniamy ten utwór powoduje, że spoglądamy nań poprzez inne filmy mądrzejsze i doskonalsze dzięki m. in. „Absolwentowi”.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI



# KSIAŻKA

## spod lady

„Czy malarstwo Chelmońskiego warusza kogokolwiek, czy porusza dzisiaj serca, czy trafia do wyobraźni?” — pyta Maciej Mastowski we wstępie do wydanego przez „Aurige” albumu „Józef Chelmoński”. Prof. Mastowski, autor wydanego nie tak dawno „Żywota malarzkiego Józefa Chelmońskiego”, stara się udzielić na to odpowiedzi w tekście albumu, przedstawiając czytelnikom artystę w sposób nowy i odkrywczy. Również staranny dobór ilustracji (14 wielobarwnych i 120 czarno-białych), ukazujących zarówno obrazy bardzo znane, jak i dotychczas nie publikowane (niejednokrotnie znajdujące się za granicą), pozwala na ich nowatorskie odczytanie i niebanalną interpretację.

Znaczna część odnotowywanych książek opatrzone jest sygnetem Państwowego Instytutu Wydawniczego, firmy, która ambitnie treści swoich publikacji stara się łączyć z oryginalnym, nowoczesnym „opakowaniem” edytorskim. I tym razem nie sposób nie zwrócić uwagi na wyróżniającą się atrakcyjną szatą zewnętrzną i starannym wykonaniem serię PIW, tzw. z „monogramem”, w której czytelnicy otrzymują wznowienia książek współczesnych polskich autorów. Wymienimy dotychczas wydane utwory, bowiem w serii tej wychodzi po 2-3 tytuły rocznie i można je kompletować bez obawy o szybkie przekroczenie limitu miejsca przeznaczonego na domowy księgozbiór: „Pamiętnik z powstania warszawskiego” M. Białoszewskiego, „Nagi sad” W. Myśliwskiego, „Król Obojga Sycylii” i „Strefy” A. Kuśniewicza, „Zabijcie czarną owcę” R. Kłysia, „Dwie głowy ptaka” W. Terleckiego, „Trzy opowieści” J. Andrzejewskiego i ostatnio „Splot słoneczny” W. Zalewskiego.

Wychodzące w tym roku publikacje Wydawnictwa Literackiego sygnowane są specjalnym znacznikiem, świadczącym, że krakowska oficyna, która swoimi edycjami klasyków, współczesną literaturą piękną i książkami z szeroko pojętej humanistyki zyskała sobie rangę wydawnictwa ogólnopolskiego, obchodziła zaślubiny jubileusz 20-lecia. Cenną pozycją, wydaną dla uczczenia tego jubileuszu, są „Motywy” Kornela Filipowicza, twórcy, którego proza podejmuje problemy moralne, związane zwłaszcza z doświadczeniami wojny.

Szeroko rozumianemu zapotrzebowaniu na dobrą książkę humanistyczną służy prowadzony przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich cykl publikacji z zakresu historii literatury powszechnej. Mają one dawać popularnonaukowy, choć wyraźnie pogłębiły obraz dzieł literatury na szerokim tle kulturalnym — dla kręgu czytelników zainteresowanych daną literaturą lub rozwojem piśmiennictwa światowego w ogóle. Autorzy pragną również pokazać związki z kulturą polską, wskazując na recepcję omawianej literatury w Polsce. W cyklu ukazały się już historie literatury: niemieckiej, francuskiej, hiszpańskiej, węgierskiej, arabskiej, tureckiej, łacińskiej, „Literatura narodów Jugosławii”. Ostatnio pojawiła się „Historia literatury czeskiej” Józefa Magnuszewskiego — pierwsza tak obszerna synteza dzieł literatury bratniego narodu, doprowadzona do czasów ostatnich.

Germaine de Staël (1766—1817) była jednym z najciekawszych umysłów swojej epoki, jedną z najwybitniejszych kobiet, jakie zapisały się w dziejach kultury. Jeden z pisarzy, jej wielbiciel, pisał o niej, że mogłaby mu zastąpić cały świat. Dla czytelnika polskiego nowością będzie tekst jej wspomnień (wydany w serii pamiętnikarskiej „Czytelnika” pt. „Dziś i jutro”) — Stano w on interesujący dokument oddający w jasnych barwach kulisy reżimu Napoleona oraz przekazuje garść ciekawych wrażeń z przejazdu przez ziemie polskie.

JAN OKOPIEŃ

# PLASTYKA



Jadwiga Janus — BEZ OSŁONY (drewno)

## ŁÓDZKA GALERIA RZEŹBY

W pasażu ZMP, między ulicą Piotrkowską a Kościuszką powstała — po długich staraniach i zabiegach Sekcji Rzeźbiarskiej Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków — plenerowa Galeria Rzeźby. Głównymi inicjatorami i organizatorami byli łódzcy rzeźbiarze Galkiewicz i Kowalczyk, zaś autorami eksponatów są twórcy z całej Polski — uczestnicy plenerów rzeźbiarskich w Orońsku.

I tak w centrum miasta, na niewielkim skrawku zieleni znalazł się (dzięki uporowi i energii kilku ludzi) azyl dla rzeźby, tej formy sztuki, w którą Łódź jest szczególnie uboga. Pomników bowiem mamy niewiele, a te co są, nie grzeszą nadmierną urodą, zaś rzeźb stojących w parkach zgoła nie uświadczysz. A skoro jesteśmy przy parkach, to nasza propozycja dla Zarządu Zieleni Miejskiej: może zainteresowałyby się bliżej nowo powstałą galerią i łódzkimi rzeźbiarzami w ogóle, a raczej zawartością ich pracowni i od czasu do czasu dokonał zakupów rzeźb, ustawiając je właśnie w parkach i na skwerach miasta. Korzyści stałoby się wtedy obustronne, a już na pewno lepiej i mądrzej zdobyć miasto dziełami sztuki niż girlandami kolorowych żarówek.

Warto dodać, że eksponowane w galerii rzeźby będą co pewien czas wymieniane. Dzięki takiej rotacji galeria będzie miejscem prezentacji osiągnięć aktualnej twórczości rzeźbiarskiej. Ponadto w tymże pasażu powstanie w niedługim czasie pawilon rzeźby, gromadzący najwybitniejszych artystów polskich. Jako pierwsze eksponowane będą prace Alfonsa Karnego.

Pomysł zorganizowania galerii zasługuje na specjalne uznanie. Owa mała enklawa miasta w okolicach pasażu zmieniła radykalnie swoje oblicze. Stała się miejscem pełnym uroku. Współczesna rzeźba dobrze czuje się w przestrzeni otwartej na tle zieleni i drzew. I dobrze czuje się wśród ludzi, a jak można sądzić z zainteresowania przechodniów — ludzie również dobrze czują się z nią.

ANDRZEJ GRUN

# MIELIBY PO 100 LAT

Pewnego razu w Kopenhadze po koncercie słynnego już wówczas Szalapina podeszła do niego pewna dama przedstawiając się jako baronowa U.

— Panie Szalapin — odezwała się następnie — nie widzę jakiegoś mojego szofera. Proszę niech pan głośno krzyknie: „Karl!”.

— Pięćset marek — powiedział rosyjski śpiewak.

— Co to znaczy pięćset marek? — spytała baronowa.

— Też sumy żądam od pani za występ nie na scenie, a na ulicy.

— Zgadząm się — odrzekła baronowa.

Szalapin nabrał powietrza w płuca i potężnym głosem zaśpiewał: „Ka-a-a-ri!”. Nadjechało auto baronowej. Szalapin powiedział do szofera:

— Karl, odbierz u swojej pani pięćset marek i wypij za moje zdrowie.

Caruso i Szalapin — dwaj wielcy śpiewacy, tenor i bas (raczej baryton-bas), którzy gdyby do dziś żyli mieliby w tym roku po 100 lat każdy, gdyż byli rówieśnikami. Jeden i drugi są do dziś nie mniej sławni niż byli za życia. „Król tenorów”, Neapolitańczyk z pochodzenia i wielki Szalapin urodzony w Kazaniu — obydwo ich otaczała legenda, krążyły i krążą o nich anegdoty,

powtarzane są szczegóły z ich życiorysów, sukcesów, coraz większej kariery. Znani byli na całym świecie. W roku 1901 wystąpili wspólnie na scenie w operze Arriga Boito „Mefistofeles” w słynnej neapolitańskiej „La Scali”.

Obaj pochodzili z biednych rodzin. Szalapin urodził się w Kazaniu w skromnej rodzinie urzędnika, Caruso przyszedł na świat jako osiemnaste spo-

śród dwudziestu jeden dzieci robotnika metalurgicznego (większość rodzeństwa Enrica wymarła nie dożywszy lat młodzieńczych).

Początkowe występy Enrica Carusa nie wróżyły mu bynajmniej sukcesów, a jego pierwszy profesor śpiewu starał go się nawet odwieść od kariery śpiewaczej. Caruso nie zraża się jednak niepowodzeniami. Po długiej i ciężkiej pracy zdobywa jako tako sukces w „Fedorze”. Był to rok 1898. W tymże roku Enrico Caruso odwiedza Petersburg.

„Rosja stała się pierwszym stopniem na drodze do światowej sławy Enrica Carusa — pisze E. Chramow w 2 numerze z br. radzieckiego miesięcznika dźwiękowego „Krugozor” — Po zaproszeniu na „sezon italski” umocniła się pozycja młodego tenora. A w ciągu dwóch i pół lat, 16 marca 1901 roku, Fiodor Iwanowicz Szalapin debiutował w Mediolanie w „La Scali”. Italia zwróciła mu to, co Rosja uczyniła dla Carusa: po wystąpieniu w Mediolanie stał się on wielkością światową”.

Kiedys spytano Carusa jakich trzeba warunków, aby zostać dobrym śpiewakiem. Odpowiedział:

— Mieć wielkie usta, szer-

oką pierś, dobrą pamięć, trochę inteligencji i zamiłowanie.

Gdy stał się już sławnym, zmienił koszulę przed każdym aktem opery, kąpał się dwa razy dziennie i groził swym scenicznym partnerkom, że jeżeli nie wymyją się na leżycie, to podczas odgrywania nawet najbardziej czułych scen miłosnych, będzie się od nich trzymał o trzy metry z dala. Lubił jadać befsztyki i surowe jarzyny, zbierał znaczki pocztowe i złote monety. Dziennie wypalał czterdzieści papierosów egipskich.

W latach 1908—1909 Caruso choruje na gardło. Grozi mu utrata głosu. Nie przestaje jednak później śpiewać. Odnosi nadal sukcesy, tylko jego głos zmienił nieco swą barwę, tracąc metaliczny timbre, staje się bardziej matowy. Do dziś uchodzi Caruso za najlepszego tenora jaki kiedykolwiek pojawił się na scenach operowych. Czy tak jest w istocie, czy jest to tylko legenda?

Lucjan Kydryński pisał w jednym z tegorocznych marcowych numerów „Przekroju”:

„Caruso miał kłopoty z górnymi tonami. Nie brał wysokiego c, bez którego trudno sobie dziś wyobrazić tenora, nie mógł również

nigdy wyśpiewać górnych tonów pianissimo, musiał atakować je pełnym, silnym głosem”.

W istocie, jak to stwierdza Kydryński, Caruso był nieprzezwany tylko w kilku operach.

„Nie śpiewał w ogóle partii bohaterów (np. Otella), nie śpiewał oper mozarowskich, nie śpiewał „Cyrulika”, a z Wagnerem dał sobie spokój do końca życia, po trzech krótkich spektaklach „Lehengrina” w Buenos Aires, u progu kariery (1901)”.

Jakkolwiek posiadał świetną dykcję, Caruso był kiepskim aktorem w przeciwieństwie do Szalapina, który był znakomity również jako aktor. Była to zresztą nie tylko zasługa talentu, ale i żmudnej pracy rosyjskiego śpiewaka. Przez całe lata studiował np. postać Mefistofelesa, by odgrywać ją jak najlepiej w „Fauście” Gounoda. Studiował literaturę, rzucił na papier dziesiątki szkiców. Postać Mefistofelesa ulegała zresztą w jego interpretacji zmianom. Jego Mefistofeles — to początkowo piękny, wesół, zaradliwy młodzieniec śpiewający miłosne pieśni. Po latach zmienia się ów Mefisto nabierając coraz bardziej

cech cynika i sceptyka, by wreszcie stać się wcieleniem Zła, nienawistnego ducha, istoty demonicznej.

Caruso zmarł mając lat 48 po poważnej chorobie płuc. Szalapin umiera mając lat 65. O jego życiu wiemy sporo dzięki pozostawionej książce pt. „Szalapin. Wspomnienia z mojego życia”. Była ona wynikiem współpracy śpiewaka ze swym przyjacięciem od lat młodzieńczych Maksymem Gorkim. W lecie 1916 roku obaj, śpiewak i pisarz spędzali wakacje na Krymie. Szalapin poddyktował wówczas stenotypistce swobodnym stylem, w formie luźnej opowieści wspomnienia ze swej młodości i kariery artystycznej. Następnie Gorki dodał do tego materiału znane mu epizody z życia przyjaciela — śpiewaka i opracował dłuższy tekst, który w roku 1917 wydrukowany został w dwunastu odcinkach w jednym z rosyjskich czasopism. W latach 1926/1927 „Wspomnienia” ukazały się w książce, wydanej w Leningradzie.

Caruso, posiadający głos wybitnie fonogeniczny nagrał około 270 płyt. W Związku Radzieckim znajduje się 186 nagrań Szalapina.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

# Zdarzeni A · I · Zwierzeni A

## MAŁY LEKSYKON ULIC

Nie liczyłem zbyt dokładnie, ale chyba nie popełnię zbyt dużej pomyłki jeśli powiem, że mam w Łodzi ok. 1.500 ulic. Są wśród nich bardziej i mniej znane, mniejsze i większe — takie jak Piotrkowska, która doczekała się źródłowej i unikalnej monografii doc. Anny Rynkowskiej — są i takie, które doczekały się tylko felietonu jak np. Wschodnia. Ale są i takie, o których tylko czasem słyszymy — ich nazwa obija się nam o uszy; są też i takie, których istnienia przeciętny Łodzianin nawet nie podejrzewa.

Ten mały leksykon ulic jest więc tylko propozycją jakiegoś większego cyklu publikacji. Cyklu, który może kiedyś podejmie ktoś, bo warto. Przecież jakże często nie wiemy kim był człowiek, da-

jący, ulicy swoje nazwisko. Zaczniemy od ulicy Abramowskiego.

Józef Edward Abramowski, urodzony na Ukrainie w 1868 roku — zmarły w 1918 w Warszawie, był działaczem społecznym swojej epoki — a wówczas znacząco to także, że był filozofem, socjologiem, psychologiem. Założył w końcu XIX wieku partię robotniczą Zjednoczenie i z tego okresu pochodzą pierwsze pisma Abramowskiego — rozprawy socjologiczne pisane z pozycji marksistowskich. W latach 1905—1907 propagował idee strajków politycznych. Pod koniec życia poświęcił się pracy naukowej — był kierownikiem katedry psychologii UW i twórcą Instytutu Psychologii. Fascynował współczesnych i potomnych — książki o nim napisali m. in.

Marla Dąbrowska i prof. Oskar Lange. Na Nowym Rokicju odchodzi od ul. Przystolek mała uliczka Karola Bohdanowicza.

Ten wybitny polski geolog, górnik i podróżnik urodził się w 1864 roku, a zmarł już po wojnie w 1947 roku. Większą część życia spędził w Rosji, gdzie był przez 17 lat profesorem Instytutu Górniczego w Petersburgu. Potem wrócił do kraju, był twórcą Państwowego Instytutu Geologii ale wędrował nadal do Turkestanu, Iranu, Syberii — dotarł aż do Kamczatki i na Alaskę, gdzie dokonał wiele cennych odkryć geologicznych — zwłaszcza rud i ropy naftowej.

Ulica Chodkiewicza na Karłowcu jest własnością hetmana Na tabliczkach pisze co prawda Karol Chodkiewicz, ale miał on również drugie imię — Jan. Urodzony w 1590 zmarł w 1621 — jeden z największych wodzów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Studiował nie tylko sztukę wojenną, ale także prawo i filozofię. Do jego najbardziej znanych zwycięstw należy oczywiście pogrom Szwedów pod Kircholmem, który rozstrawił jego imię poza granicami Polski i przyniósł mu wielką sławę. Jego czyny opiewał poeci tamtej epoki — Mikołaj Sarbiewski, Wacław Potocki, Julian Ursyn Niemcewicz...

Ulica Deotymy zdobyła sobie w Łodzi złą sławę, kiedy

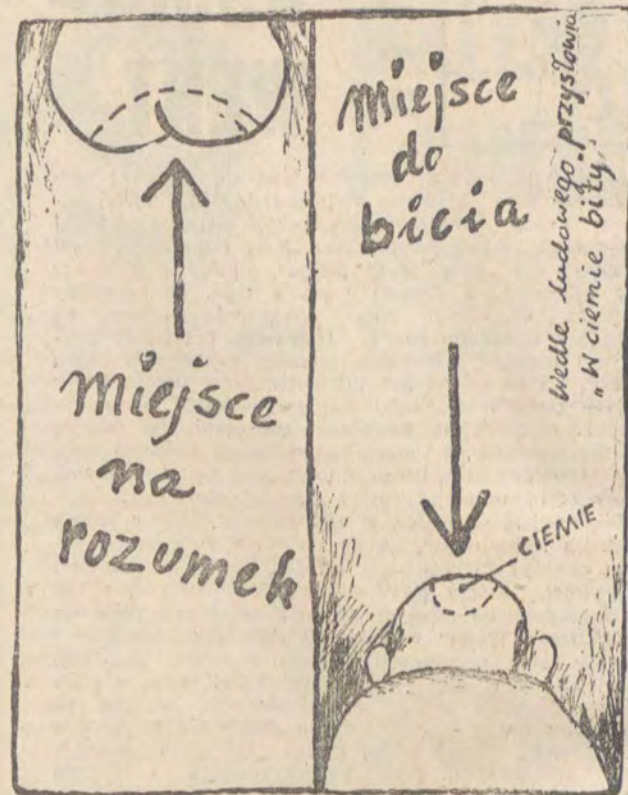
znajdowała się tam Izba Wytrzeźwień. O ironio! losu! Poetka i powieściopisarka Jadwiga Łuszczyńska, znana głównie pod pseudonimem Deotymy zapewne nie o takiej sławie marzyła prowadząc w Warszawie swój słynny salon literacki w drugiej połowie XIX wieku. Pisała patriotyczne utwory o Bolesławie Chrobrym, Janie Sobieskim — do współczesności dotarły jednak tylko jej powieści — głównie „Panią z okienka”, z której zrobiono film...

Oto zaledwie początek alfabety — zaledwie zarys, propozycja leksykonu łódzkich ulic. Niewiele tu zresztą o samych ulicach — więcej (choć też telegraficznie) o ich patronach. Temat aż się prosi o rozwinięcie, bo pobieżny tylko rzut oka na spis łódzkich ulic dowodzi, ile w tym mieście ludzi z tym miastem związanych — wcale zresztą nie małych. Ileż w tym przedmiocie niepotrzebnych zmian psujących tradycyjne podziały miasta... Mam na przykład Nawrot — nie ma Przejazdu. Ze starego czworoboku Wschodnia — Zachodnia — Południowa — Północna... wypadła Południowa.

Łódzkie ulice! Cała historia miasta i wielki kawał historii Polski. Temat — dosłownie — leżący na ulicy. — Warto go podnieść.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



WIDOK

# LEWYM OKIEM!

## MAŁY PALEC W BEFSZTYKU

Znajoma pani kupiła w Krakowie w tamtejszym Spółdzielczym Domu Handlowym, piękną pasową piżamę dla małżonka. Była twarzowa, elegancka, wyśliczna, jej zakup wydał się pani szczęśliwą okazją. Po paru dniach użyt-

kowania okazało się, że pościel też staje się pasowa. Piżama bowiem farbowała, czyli — jak to się mówi — „puszczała” na sucho. Można sobie wyobrazić, co by się działo w praniu!

Ponieważ prześcieradła w

pasowe smugi nie wyglądały zbyt efektownie, pani poszła do Domu Handlowego z reklamacją. Dom się wcale nie zdziwił, bo takich reklamacji miał już całą furę, natomiast zwrócił się ze słuszną pretensją do zakładów odzieżowych, które były producentem sztywnych nocnych wdzianek.

Zakłady odzieżowe zaczęły się trochę dziwić. Mianowicie stwierdziły i wykazały, że tkanina, jedwabna, przeznaczona do szycia piżam, została przez producenta dostarczona z atestem, stwierdzającym jej wysoką jakość i nienaganną. Kilkanaście podpisów pod atestem uznano za dostateczną gwarancję jakości tkaniny i bez żadnych prób, w ciemno, zabrano się do krojenia i szycia.

Nie wiemy, kto był producentem tkaniny i atestów. Wiemy natomiast, że zakłady odzieżowe zwróciły się do dostawcy tkanin ze słuszną pretensją, zapoczątkowaną prze-

cieradłem naszej znajomej, krakowskiej pani.

Producent tkanin (nieznany z imienia) zdziwił się już na dobre. Dlaczego? Ano, dlatego, że wykazał dokumentarnie, że tkanina odpowiada całkowicie normie i nikt nie może producentowi niczego zarzucić!

Cześć, koło się zamknęło. Być może, winni są autorzy normy, czyli formalnie biorąc — Polski Komitet Normalizacyjny. Prawdopodobnie nie napisali w owej normie, że kolorowa tkanina puszczająca na sucho jest wyrobem bezwartościowym, bez względu na jej przeznaczenie. Być może barwniki do tkanin też były atestowane jako nieskazitelnie dobre i zakłady włókiennicze wpakowały je w ciemno do kotła i koniec. Być może nawet, że barwniki były zgodne z normą, tylko niezgodne ze zdrowym rozsądkiem. A może wyprodukowano je z atestowanych składników — i tak

dalej i tak dalej. Przy takiej lawinie skomplikowanych, elementarnych zjawisk fałt puszczenia farby przez piżamę krakowskiego pana nie ma oczywiście żadnego znaczenia i nie wpływa na wykonywanie i przekraczanie planów.

Jak byście tak zajrzeli do norm, przekonaliście się szybko, jaka to frapująca lektura. W normie dotyczącej befsztyka tatarskiego określa się, po ilu sekundach powinno się samoczynnie wywrócić w głębienie, zrobione małym palcem, ale oczywiście nie określa się, że befszyk nie powinien cuchnąć. W normach dotyczących obuwia przeczytacie o tym, ile ściągów ma prawo przeszkodzić maszyna w przedniej części cholewki, a ile w tylniej, na ile milimetrów ma prawo się odchylić pasek tylny od pionu, nie znajdziecie natomiast wymagania, aby but wchodził na nogę. Więc oczywiście producent łatwo wyka-

że, że jego wyroby są zgodne z normą, chociaż befszyk źle pachnie, but jest niewygodny, a piżama nadaje się tylko do leżenia na wystawie.

Wszystko gra. Wszystko gra dopóki, dopóki jedyny kryterium wszelkich ocen stanowią wyłącznie formalne, spisane dokumenty, oraz dopóki żadnemu z ogniw długiego łańcucha kooperantów nie zacznie zależeć na ocenie praktycznej, społecznej, ludzkiej. Zgodne z normą? Atestowane? Koniec zmartwień. Nie ma podstaw do wyciągania konsekwencji, a wszystkim dyrektorom, na wszystkich szczeblach, wyłącznie o to chodzi, No i piżamy farbują.

ĆWIEK

# PRZECIEŻNIEJSZOŚĆ

## DECYDUJĄCE CHWILE

Programowy artykuł, którym organ prasowy Związku Patriotów Polskich, tygodnik „Wolna Polska” witał dnia 24 lipca 1944 r. powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, nosił wymowny tytuł: „Chwila decydująca”. Rzut oka na sytuację wojenno-polityczną poprzedzał sformułowana w lapidarnych słowach główna teza o konieczności powołania do życia na wyzwolanej ziemi polskiej kierowniczego ośrodka politycznego.

„Na ziemi polskiej muszą powstać podwaliny, pierwsze zręby niepodległej państwo-

wości polskiej. Kraj musi mieć ośrodek kierowniczy, który od pierwszej chwili rozpocznie organizację naszego życia państwowego, który na terenach wyzwolonych zepłoli wszystkie wysiłki narodu dla przyspieszenia zwycięstwa”.

Nadeszła decydująca chwila, gdy odzyskująca wolność Polska musiała stworzyć „swoją ośrodek kierowniczy, gdy demokracja musi zaznaczyć swoją obecność. Nadeszła chwila, gdy wieś i miasta nasze muszą na każdym kroku rozstrzygać sprawy państwowe. Nieobecność normalnej władzy, i do tego władzy

współpracującej z wyzwoleną armią sojuszniczą, oznaczałyby dla nas katastrofę narodową”.

ZPP witał powołanie do życia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, jako logiczną i zarazem konieczną konsekwencję aktualnej sytuacji politycznej, podkreślając, że jego utworzenie w tej „decydującej chwili powrotu wolności do naszego kraju” oznacza położenie podwalin pod nową polską państwowość. W kilka dni później, 1 sierpnia 1944 r. redagowane przez Wandę Wasilewską „Nowe Widnokreśli” pisały:

„Na Lubelszczyźnie i na Podlasiu, w znacznej części województwa warszawskiego, w powiatach położonych między Sanem a Wisłokiem odradza się państwowość polska. Na wyzwolonym obszarze objął władzę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, powołany dekretem Krajowej Rady Narodowej. Jako najwyższy organ suwerenności państwowej narodu polskiego stojący na gruncie prawomocnej konstytucji z 17 marca r. 1921, Krajowa Rada Narodowa powzięła te decyzje w historycznej chwili, kiedy ziemia polska stała się terenem działań wojennych i walka toczy się już bezpośrednio o wyzwolenie naszej ojczyzny.

Powstała w tej sytuacji niecierpiąca zwłoki konieczność utworzenia tymczasowego organu rządowego, który by w imieniu KRN pokierował administracją publiczną na wyzwolonym obszarze, przeprowadził mobilizację do szeregów Wojska Polskiego i reprezentował Polskę na zewnątrz”.

Przełomowe znaczenie utworzenia PKWN, które tak silnie akcentowała rodzająca się na żywo publicystyka ZPP, jest dla nas jeszcze bardziej zrozumiałe z perspektywy, jaką dają nam te wypełnione walką i pracą lata, które upłynęły od tamtych ważkich chwil. Rozumiemy dziś lepiej niż niegdyś, że PKWN oznaczał nie tylko nowy etap w walce o wyzwolenie narodu, w uporczywych zmaganiach z hitlerowskim agresorem, że znaczył nie tylko odbudowę polskiej państwowości, ale że był pierwszym jakiegoś owocnym w skutki zwycięstwem rewolucji socjalistycznej w Polsce, tej rewolucji, która miała u nas swój kształt szczególnie, skoro przebudowa społeczeństwa dokonywała się w najtrudniejszych z możliwych warunkach walki o każdy kawałek polskiej ziemi, wolny od najeźdźcy buta, odbudowy i podnoszenia z gruzów zrujnowanych miast

i wsi. Przełomowe znaczenie powołania do życia PKWN rozumiemy lepiej, gdy wiemy, że siły związane z obowiem londyńskim nie tylko zamyslały o przechwyceniu władzy w wyzwalanym kraju, ale podjęły już w tym kierunku zdecydowane kroki. Dzisiaj — po upływie lat — możemy sobie postawić pytanie: co by było, gdyby siły polskiej demokracji nie zdobyły się wówczas na utworzenie nowej, socjalistycznej władzy, gdyby... spóźniły się z jej utworzeniem, czekając np. na możliwość przeprowadzenia wyborów, jak to niektórym się wówczas marzyło? Odpowiedź wydaje się być prosta, jeśli się zważy, że nowa władza w bardzo wielu ośrodkach, nawet w Chełmie Lubelskim, zastawała już tworzącą się, niekiedy już uformowaną i usiłującą rozpocząć działalność organy powołane przez obóz londyński. Takie spóźnienie kosztowałoby bardzo, bardzo wiele: wówczas bowiem rewolucja socjalistyczna miałaby w naszym kraju zgoła inny przebieg, niż ten, który stał się u nas rzeczywistością. Spóźnienie oznaczałoby danie szansy politycznemu i klasowemu przeciwnikowi, prowadziłoby do krwawej wojny domowej, której koszt poniosłby cały na-

rod. Utworzenie PKWN oznaczało więc ważki etap w walce o socjalistyczną przebudowę odradzającej się Polski, było milowym krokiem na drodze wiodącej do zwycięstwa socjalizmu.

1 sierpnia 1944 r. na łamach „Nowych Widnokreśli”, w artykule wstępnym pt. „W historycznej chwili” pisało o PKWN:

„Reprezentując suwerenność Rzeczypospolitej — władza ta jest ośrodkiem, dokola którego odbywa się i będzie się nadal odbywał proces jednoczenia i aktywizacji wszystkich żywiołów patriotycznych w kraju i na wychodźstwie, do wielkich zadań, które stają w tej chwili przed całym społeczeństwem polskim. Pod przewodnictwem Krajowej Rady Narodowej i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powstaje wielki obóz patriotyczny, w którym nie zabraknie miejsca dla nikogo, komu dobro ojczyzny leży na sercu”. Nowa władza jednoczyła Polaków „pod sztandarem Niepodległości i Demokracji — zgodnie z naszą patriotyczną tradycją, zgodnie z naszymi interesami narodowymi”.

LEKTOR